Nr. 5. Rok I.

We Lwowie 28. października 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.

tudzież wszystkie księgarnie.

☞ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Perfumerye.

Rękawiczki. | Krawaty.

Magazyn nowości i drobiazgowy

W. BYSTRZONOWSKIEGO

Lwów ul Halicka l. 18.

poleca świeży transport najtaniej

Chustki włóczkowe

po 1. 1.50. 2. 2.50. 3. 3 50. 4. 5. 6. zł.

Sznurówki francuzkie

ceny zniżone

1.20 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50, 4. 5. 6. 8. 10 zł.

Łaskawe zamówienia załatwiają się odwrotną pocztą.

wszelkie przybory do szycia i haftu.

Firma F. FIALA dziś A. FIALA następcy

32 lat istniejąca

urządziła nową apreturę kapeluszów

według sposobu francuzkiego

poleca swoją **fabrykę** i **skład** kapeluszów filcowych w rozmaitych i najelegantszych fasonach w najlepszym gatunku, własnego wyrobu w wielkim wyborze i bardzo przystępnych cenach

Kapelusze filcowe mężkie po 1 zł. 90, 2 zł. 50, 3 zł., 3 zł. 50, 4 zł., 4 zł. 50 i 5 zł.

Kapelusze filcowe dziecinne po 1 zł. 20, 1 zł. 50, 1 zł. 80 ct., 2 zł. i 2 zł. 50.

Cylindry własnego wyrobu lekkie i bardzo trwałe w najgustowniejszych fasonach od 3 zł. 50 do 5 zł. Także cylindry tak zwane **Adherend** od 5 zł. do 8 zł.

Wyrabiamy także kapelusze filcowe w najlepszym gatunku **a la Habig w Wiedniu** są one bardzo lekkie, ważą tylko 75 gramów i sprzedajemy je po 3 zł. 50 i 4 zł. 50.

Czapki podróżne i do polowania sukienne, jakoteż i filcowe.

Kapelusze strzeleckie w rozmaitych fasonach i różnych kolorach.

Szczególnie zwracamy uwagę szan. publ. na nasze **obówie filcowe** własnego wyrobu w najlepszych gatunkach i bardzo trwałe; do pokoju, do wyjścia, do podróży i do polowania.

Do odnawiznia przyjmujemy stare kapelusze i wykonujemy jak najprędzej.

Zamówienia wszystkie w naszym zawodzie wykonują się jak najrzetelniej i najakuratniej.

Dziękując przytem za zaufanie szanownej publiczności przez 32 lat, proszę także i nadal o łaskawe względy tejże, kreśląc się z wysokiem upoważaniem

Franciszek Fiala

zawiadowca handlu.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za przewyborne perfumy i wody toaletowe.

Woda lwowska odznacza się bardzo przyjemnym i długotrwałym zapachem, zastępuje perfumy, wody pachnące, octy aromatyczne i toaletowe. — Woda lwowska zyskała powszechne uznanie i wziętość w kraju i za granicą. Ponieważ woda lwowska nietylko jest znakomitą perfumą do skrapiania sukień i chustek, lecz użyta także za pomocą rozpylacza, daje bardzo wonne i miłe kadzidło, flakon 80 ct. i 1 złr. 50 ct.

Woda lewandowo-ambrowa. Posiada bardzo przyjemny i silny zapach; służy do skrapiania sukień i chustek, niemniej też użyta za pomocą rozpryskiwacza, daje bardzo przyjemne i wonne kadzidło. Cena flakona 1·20 Pół flakona 70 ct.

Woda lewandowa podwójna. Odszczególnia się nader przyjemnym orzeźwiającym zapachem i używa się nietylko jako woda pachnąca do skrapiania sukień, chustek i mieszkań, lecz także jako woda toaletowa ma obszerne zastosowanie w damskiej toalecie, czy to do nacierania ciała, lub też zmięszania z wodą do mycia, bardzo korzystnie wpływa na płeć i skórę, konserwując i chroniąc ją od wyrzutów, zmarszczek itp. Cały flakon 90 ct. Pół flakona 50 ct.

Woda kolońska potrójna, która o wiele przewyższa swoją dobrocią zagraniczne flakony po 40, 80 i 1·50.

Woda kolońska flakony po 25, 50 i 1 złr.

Ocet toaletowy. Odznacza się nader przyjemnym zapachem i jest powszechnie używanym do odświeżania ciała, skórze nadaje jędrność, czerstwość i chroni ją od wszelkich wpływów szkodliwych powietrza. Służy on również do odświeżania i odwietrzania powietrza w salonach. Cena 50 i 1 złr.

Perfumy. Chypr, heliotrop, jaśmin, Jokey-Klub, hiacynt, lilija, perfuma krakowska, perfumy z kwiatów alpejskich, kwiatów polnych, kwiatów wschodnich, Ess-bouquet, Millefleurs, paczula, rezeda, róża mchowa, Opoponaks, Ylang-Ylang, piżmo, perfuma litewska, fiołek, świtezianki, ambrozja, niezapominajki, pieszczotka, kwiat polski, konwalia, pierwiosnek, róża itp. flakoniki po 30, 50, 75 ct. 1 50 i 2.

Saszetki (Sachet) z zapachem paczulowym, z kwiatów wschodnich, konwaliowym, kwiatów polskich, kwiatów alpejskich, fiołkowym, lewandowym, piżmowym, różannym, heliotropowym itd. po 50 ct., 1 złr. i 4 złr.

Wody toaletowe z zapachami: fiołek, heliotrop, Millefleurs, Ess-Bouquet, służą do nacierania ciała i skrapiania włosów. Flakon 1 złr.

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp. Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20, w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Millera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Macury, w Przemyślu u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze u Marescha, w Podhajcach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla. 2571 26—0 3

Prawdziwy tylko z następującą marką ochronną: „Huste-N cht."

Nie-kaszlaj

Z ziół miodowych

Ekstrakt słodowy i karmelki *)

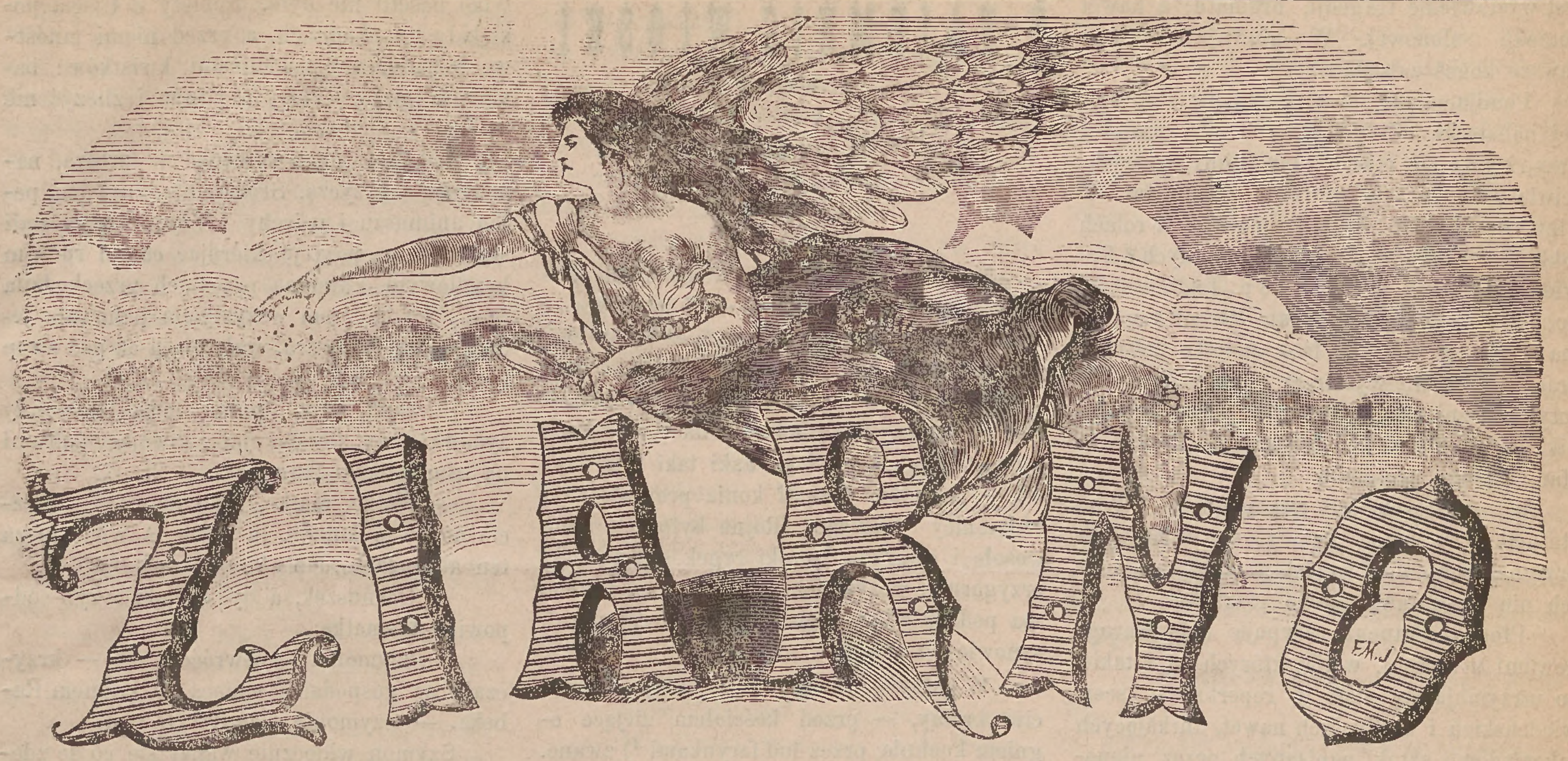
L. H. Pietscha & Comp. w Wrocławiu.

Licznemi podziękowaniami uznane, wypróbowane i najlepsze środki dyetetyczne, na kaszel, astmę, katar, chrypkę, zaflegmienie, cierpienia gardlane i piersiowe — od prostego kataru począwszy, aż do suchot. — Zwracamy na to uwagę! — Oprócz licznych potwierdzeń posiadamy także pismo dziękczynne **JO. kanclerza niemieckiego, ks Bismarka.**

*) **Wyciągu** flaszka 80 ct., 1 złr. 50 ct. i 2 złr. **Karmelki** paczka 25 i 40 ct. 2801 1—? 1

*) Dostac można ekstraktu flaszkę po złr. 2, 1·50 i 80 cnt. Karmelków torbeczkę po 40 i 25 cnt. We Lwowie u Zygm. Kuckera apt. pod „Srebrnym Orłem", w Brzesku u W. Jawoscheka apt. w Borszczowie u M. Niemczewskiego apt., w Dobromilu u A. Grotowskiego, w Grybowie u Tulszyckiego apt., w Jaśle u R. Palcha apt., w Kańczudze u R. Hegera apt., w Mostach Wielkich u Ignacego Żolińskiego apt., w Rozdole u Ed. Kornbergera apt., w Skawinie u Karola Mayera apt., w Wojniłowie u E. Stiebera apt., w Żurawnie u J. W. Tomaszewskiego apt., w Żydaczowie u M. Baraasza apt., w Tarnopolu u Hermana Kanane apt. pod „Złotem Orłem" i G. Jamrogiewicza apt., w Sokalu u Eugeniusza Wysoczańskiego apt., w Kołomyi J. Sidorowicza apt., w Jarosławiu u Józ. Rohma apt. i Wisłockiego apt.

Nr. 5. We Lwowie dnia 28. Października 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

W obronie Melpomeny.

Kiedy pismo nasze zaczęło wychodzić, rozpisano właśnie konkurs na prowadzenie sceny lwowskiej przez lat dziewięć. P. Miłaszewski własnowolnie zrzekł się był prowadzenia przedsiębiorstwa dalej, i to uwalniało nas od wypowiadania zdania naszego o jego kierownictwie, tem więcej, iż zdawało się, że dotychczasowy kierownik ustąpił sam pod naciskiem opinii publicznej, w poczuciu swej nieudolności. Wieść ta jednak i przypuszczenia okazały się w rezultacie fałszywemi. Po rozpisaniu konkursu bowiem p. Miłaszewski podał się znów o przedsiębiorstwo teatralne, i współubiega się z p. Ładnowskim o prowadzenie sceny.

Zdawałoby się, że w obec tych dwóch konkurentów łatwy wybór, i niepotrzebowalibyśmy wcale pisać artykułu niniejszego, gdyby w tym razie rozstrzygała znajomość rzeczy, zasługa, lub artyzm, słowem sprawiedliwość. Kto zna jednak stosunki nasze i wie, kto i co w takim razie rozstrzyga, ten zgodzi się z nami, że zachodzi tu bezwarunkowo „periculum in mora." Z tego powodu obowiązkiem naszym jest zabrać głos w tej sprawie.

Niezapatrujemy się idealnie na stosunki teatralne w ogóle, i nie będziemy żądać razem z Schillerem, aby scena stanęła na równi ze szkołą i była zakładem wychowawczym, czy katedrą doświadczalną estetyki. Umiemy się liczyć z warunkami danemi i wiemy aż nadto dobrze, że od przedsiębiorcy nie wiele wymagać możemy, Żądania nasze są szczupłe, a opierają się jedynie na tem, że kraj, dając 24 tysiące subwencji może zarazem wymagać, aby ów impressario każdoczesny stosował się choć trochę do jego życzeń, i dawał stolicy to, czego ona żądać ma prawo.

Tam, gdzie istnieje wyłącznie jeden teatr a publiczność jest rozmaita, niepodobna wymagać od przedsiębiorcy repertoaru klasycznego, bo literatura nie w jednym tylko rozwija się kierunku, a każdy rodzaj sztuki ma swoje uprawnienie. Jednostronność w tym razie musiałaby przyprawić przedsiębiorcę o straty, a na to niktby go z pewnością narażać nie chciał.

Publiczność nasza, która po odtrąceniu tych, którzy z zasady(!) czy apatji do teatru nie chodzą, jest dość szczupła, potrzebuje rozmaitości, a potrzeba ta jest absolutnym wyrokiem dla przedsiębiorcy.

Takie jest nasze zdanie i dotąd z pewnością zgodzi się z nami p. Miłaszewski. Są jednak inne punkta, w których my z nim się zgodzić nie możemy.

Punktami tymi jest dobór repertoaru i personal dramatyczny. Drobnostka! Dwie rzeczy, z których się składa scena. O operze niemówimy. Bolesna to struna, o której nie da się powiedzieć nic więcej, jak tylko tyle, że jej nie ma. Gdyby wymarły wszystkie słowiki, kosy i skowronki, wróble musiałyby rej wodzić w śpiewie. Podobna katastrofa zdarzyła się snać w personalu operowym p. Miłaszewskiego. Operowa truppa jego pieje bezustannie jedną i tę samą piosnkę, a zawsze na szaro... O wróblach więc lepiej zamilczeć.

Podstawę teatru naszego bądź co bądź stanowi dramat; o niego więc głównie nam idzie.

Nieprzeczymy bynajmniej, że pośród personalu obecnego sceny naszej, jest w istocie kilka młodych talentów, rokujących nadzieję, ale nadzieja dobra na przyszłość, nic nie pomoże w czasie teraźniejszym. Jest faktem, że ze starszych artystów nie utrzymał się w personalu naszym nikt, prócz pani Nowakowskiej, Aszpergerowej, p. Zamojskiego i Kwiecińskiego, i że podczas pobytu p. Ładnowskiego we Lwowie nie było prawie nikogo, coby mógł grać obok niego. Jest rzeczą dowiedzioną, że przy obecnym personalu niemożebnem

jest wystawienie tragedji, dramatu, a nawet komedji salonowej. W głównych rolach zawsze kogoś zabraknie.

Pomijając już to, że bohatera, ani młodej bohaterki scena lwowska nie posiada, przyjrzyjmy się reszcie i zapytajmy, kto właściwie grać ma role starców, kto intrygantów i intrygantki, i kto ma się popisywać w rolach lekkich serjo-komicznych lub naiwnych? Powiedzmy wprost, ze w miejsce p. Ładnowskiego, Zboińskiego, Fiszera i pani Parżnickiej nie ma nikogo, że wszystko łata się tylko młodszą bracią, która nie wystarczy tam, gdzie trzeba rutyny scenicznej, i której w razie słabości nik. nawet zdublować nie potrafi. Taki jest stan naszego personalu.

Z repertoarem jest jeszcze gorzej. W ostatnich dwu latach pojawiło się kilka sztuk oryginalnych autorów polskich. P Miłaszewski ich nie przedstawił, bo to kosztuje!

Płodni Francuzi zasypują całą Europę nowemi utworami, wśród których są i takie, co utrzymują się stale w repertoarzu scen wiedeńskich i berlińskich nawet, unikających jak wiadomo sztuk, napisanych przez nienawistnych im Francuzów. P. Miłaszewski ich nie gra, bo za prawo przedstawienia trzeba zapłacić ajentom.

Cały repertoar za dyrekcji p. Miłaszewskiego składa się ze sztuk dawnych, powtarzanych bez wyboru i poczucia smaku, — i z fars niemieckich, za które albo nic, albo wcale nie wiele zapłacić potrzeba. Mamy więc na odmianę Mosera i Bürgera, a spodziewamy się, że niedługo zobaczymy Kotzebuego.

Taki jest nasz repertoar, —repertoar, który ma obznajamiać publiczność z rozwojem dramatycznej literatury w Europie, a przedewszystkiem ma obowiązek zapoznawać ją z utworami oryginalnymi swojskich pisarzów!

A na tem wszystkiem jeszcze nie koniec. Oprócz tych braków, będących świadectwem niedozwolonej oszczędności przedsiębiorstwa, napotykamy co krok rzeczy, świadczące o grubym obskurantyzmie obecnego kierownika sceny: musimy patrzeć na Włochów ubranych po hiszpańsku, na budowle gotyckie w czasach rzymskich i t. p. anachronizmy, krzyczące głośno, że p. Miłaszewski nie może być nadal kierownikiem sceny.

Do głosu tego i my się przyłączamy. Nie kieruje nami namiętność, ani uprzedzenie. P. Miłaszewski po szumnych zapowiedziach obiecujących odrodzenie sceny (risum teneatis!) prowadził teatr lwowski przez dwa lata, i doprowadził do go zupełnego upadku. Świadczy o tem publiczność, coraz bardziej stroniąca od teatru, świadczą rozbiegający się na wszystkie strony świata artyści, świadczy milczenie dzienników... My świadctwa te podpisujemy, i publiczny im dajemy wyraz.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA
(Ciąg dalszy).

IV.

Na jarmark szczurowski czterema gościńcami spieszyli ludzie. — Z pod gór i Wisły, — od Dunajca i Raby. — Wozy ciągnęły się długiemi szeregami a wśród nich uwijali się piesi. — Kobiety w koszykach niosły masło, jaja, ser; — na powrózkach pędziły cielęta i prosiaki. Jaki taki gnał krowę, — jaki taki dosiadł konia prowadząc na uździenicy drugiego. Rojno było i tłumno, wesoło i gwarno. Szeroki rynek szczurowski przygarniał wszystkich. — Wyznaczone miejsca podług stuletniego zwyczaju, zajmowali synowie po ojcach.

W jednym szeregu stanęły fury, naprzeciw kramy, — przed kościołem ziejące ogniem kuchnie, przez lud farynkami [1]) zwane.

Na słomie układano jaja, w balie rzucano z garnków masło. — Przy żelaznych sztachetach plebanii ustawili fantastycznie swe wyroby górale: — widełki, miareczki, jasełka na masło, masielniczki, solniczki, łyżki, wrzeciona, pieprzniczki; — z blachy: półkwarcia, lejki i tarki; — z mosiądzu dzwonki. — Tuż za nimi twardo i hardo posiadali na konwiach bednarze z Rysia. Beczki, balie i cebry biało wystrugane chwytały za serca niewiasty.

Z nad Wisły chłop w chłopa, jak dęby, same stelmachy i kołodzieje. Przy wozach, pługach i bronach — półkoszki i oparte na nich cepy; dzierżaki gładkie, bijaki twarde, brzozowe, okrągłe [2]), gązwy wyprawione, a swory mocne [3]).

W pośrodku rynku szewcy z Zakluczyna, Żabna i Ujścia, garbarze z Dąbrowy, Tarnowa i Brzeska ze starym Marcem na czele.

Sącz dostarczył kuśnierzy z kożuchami, Andrychów drelichów na spódnice; z Uszwi chłopi przynieśli białe pszenne kukiełki. Z boku przy aptece panowie krawcy z Wiśnicza rozwiesili czarne, sukienne kapoty, rywalizujące z białemi czerwono obszytemi sukmanami z pod Krakowa.

Czego tam nie było? Zegary z Tarnowa, czapki, książki, obrazy i obrazki, garnki i koguciki gliniane, skrzypce i klarnety — tylko basetli nie było. Kobiety z Ujścia poklękały na płachtach, a przed niemi mnóstwo woreczków z nasionkami kwiatków: banatków, malw i ruty, a jarzyn i zliczyć nie można.

Wszyscy chcą sprzedać — proszą, namawiają i krzyczą. Środkiem płynął lud pełen animuszu i uciechy — żydzi zajmowali strategiczne pozycje kierując całym ruchem handlowym. Zamiana przez ich przechodziła ręce... Po nad tem wszystkiem panowała jedna wielka pogwara, wzlatująca aż pod strop nieba.

— Jajki, jajki godna imość — wołały żydówki przy stosach jaj, kiwając palcami na uśmiechnięte kumoszki.

— Matko, matko, tutaj do mnie, pokażcie no — ja kupuję, ja płacę. A wiele to za ten garnuszek masła?...

— Garnuszek, a dyć to garncowy — odpowiadała matka.

— Szymonie psiewróćcie się — krzyczała na gospodarza stojąca za kramem Rebeka. — Szymonie psiewróćcie się...

Szymon widocznie wahał się co do zdecydowania się na stanowczy krok.

— Bierzcie, macie, czego stoicie jak głupi?

Rozgniewany Szymon nieoglądając się szedł dalej.

— Szymonie psiewróćcie się, bo jak Bóg w niebie pożałujecie tego. Co wy taki hardy jak oficer — abo co?

Szymon wrócił i kupił perkalu na koszulę.

Gwar, hałas, nieustająca wrzawa; wesołość i śmiechy głuszyły się wzajemnie. Wszystkie twarze były uśmiechnięte, zadowolone, prócz twarzy żydów bladych, zmęczonych, o świecących oczach, nawołujących ochrypłym głosem, targujących się, wydzierających ludziom towar, walczących z zajadłością — w tej walce o byt. Sami żydzi ciężko pracowali.

W tłumie przechadzał się poważnie dziedzic uśmiechnięty, dumny, szczęśliwy. Lud mówił:

— Patrzcie, jakto puszy dlatego, że tyle narodu zwaliło się na jego rynek.

Na placyku między propinacją a sklepem bławatnym, konie zajęły swe stanowisko z tradycji i prawa im należne. Przy koniach stali sami gospodarze, wśród nich uwijali się żydzi. Zyzma się wkupił do stowarzyszenia handlarzy koni, składając dziesięć guldenów, i jako faktor pracował na swem stanowisku.

Ruch był wielki, sporów i przechwałek dużo, a jeszcze więcej targów i przybijań ręka o rękę.

Zyzma kupowanego konia znienacka za ogon z całych sił pociągał, koń zwykle się

---

[1]) Żelazne podobne do stolików angielskie kuchenki, używane do smażenia kiełbas i gotowania rosołów.

[2]) Cepy składają się z dwóch części: z dzierżaka, który się trzyma i bijaka, którym się młóci.

[3]) Gązwy są to osady rzemienne, służące do połączenie bijaka i dzierżaka za pomocą swory.

cofał, i to miało służyć za dowód przed chłopem, że koń był słaby. Pasierb Sary dobrze władał językiem ludowym, był śmiały, silny nad swój wiek, a w akcji niestrudzony. Podjudzał jedną stronę przeciw drugiej, biorąc w opiekę słabszego, protegował go, a nareszcie oddawał na pastwę przeciwnika. Słowem prowadził wielką politykę w zastosowaniu do małego handlu, nie wiedząc o tem. Poznał go i ocenił Efraim, główny handlarz koni, naczelnik pięciu wspólników — i władca czterech folwarków.

— Zyzma, ty możesz przy koniach mieć chleb — rzekł ze spokojem wielkiego znawcy i pana.

Zyzma się uśmiechnął.

— Jak się więcej poduczysz wezmę cię. Słyszysz? — na swego faktora, — dodał z dumą.

Zyzma raz się jeszcze uśmiechnął i kiwnął głową na znak zgody.

— Kup mi tę klacz za dwieście papierków — szepnął pokazując oczami, — dziesięć dla ciebie.

Zyzma drgnął, oczy mu się zaświeciły, ułożył się jednak jak kot, podchodząc do klaczy i jego właściciela.

Po godzinie targów, szamotań się, przybijań ręką, próśb, zaklęć i gróźb — kupił klacz za dwieście szesnaście papierków, — za którą w Krakowie Efraim weźmie trzysta, a w Wiedniu trzysta pięćdziesiąt.

Zmęczony chłopak obcierał chałatem spoconą twarz, Efraim z dumą i godnością dał mu dziesięć papierków.

Wrzawa ustawała, jarmark staczał się się ze swego kulminacyjnego punktu. — Zyzma zarobił wszystkiego czternaście papierków faktorowego, — dlatego też dumnie spoglądał na świat i ludzi. — Wśród tłumu zobaczył Zawrzykrajkę z Kasią, — przywołał je do siebie; Kasi kupił piernika, matkę zaprosił do propinacji.

Kobieta dziwiła się szczęściu swego dziecka do ludzi.

— Nie potrzeba więcej — myślała w duchu — kiej nawet żyd, a przypochlebia się jej. — I chociaż biedna aby się nie dać zawstydzić żydowi, kazała przynieść kufelek piwa Zyzmie, a przed sobą postawić drugi. Kasi smakował okrutnie piernik.

— I cóż? — pytał Zyzma pijąc piwo.

— A cóżby? Żyd zamknięty, a adwokat czeka na pieniądze. Sprzedałam odrobinę masła i pół kopy jaj — to ledwie mi wystarczy na sól i okrasę. Dziewucha nie ma butów i już przez trzy niedziele nie była w kościele. — A wydolę to sama kupić jej? — łzy z oczu otarła.

— Trzeba żeby dziewucha chodziła do szkoły.

— Ej do szkoły to ta i boso przeleci, ale do kościoła?!

— Buty muszą być — i książki i papier. — Pożyczę na buty.

Kobieta przelękła się pożyczki żydowskiej.

—Ej! ciepło teraz. Zborgowaliście już raz, ledwom się wypłaciła.

— Pożyczam bez procentu, na dobre słowo, jak odbierzecie grunt, to mi oddacie.

Kobieta nie mogła się oswoić z bezinteresownością żydowską.

— Żartujecie — dawalibyście tak na urodę?

— Dam — rzekł Zyzma z powagą.

— A dyć najlichsze bucięta kosztują piętnaście szóstek

— Dam piętnaście szóstek. — Adwokat jak dostanie pieniądze, — kiedy sprawę skończy?

— Mówił na jesień. — Nie lubi on Miechowickiego Szmula i zaprzysięgał się, że da mu radę.

— No to i dziesięć papierków pożyczam.

— Mój Zyzma, to wyście chyba bogacz.

— Chociaż to cały mój majątek, nie żałuję go wam, — odparł z godnością.

— A nie potrzebne wam to samemu? - Kobieta bała się podrywki ze strony żyda. Moglibyście potem bez te dziesięć papierków przyczepić się do gruntu.

Zyzma był pewien siebie, plan miał ułożony, cel jasny i drogę wytkniętą. A że był kość z kości semickiej — grał i ryzykował. Dla tego wyjął portmonetkę, wydobył z niej dwanaście papierków i te rozłożył na stole.

— Bierzcie, a pamiętajcie, że nikt wam nie pomoże, jeżeli nie pomoże żyd.

— A widzicie matusiu, że Zyzma dobry, — odezwała się Kasia, — a nie chcieliście mi wierzyć.

— Cicho bądź głupia, — ofuknęła ją matka.

Kasia się roześmiała pokazując białe jak perełki zęby. Zyzma rad z dziewczyny pogłaskał ją ręką po twarzy.

— Ona jeszcze będzie panią. Ja to wam mówię — rzekł z dumą.

— Mój Zyzma nie psulibyście mi dziewuchy.

— Ona będzie panią, — powtórzył z mocą. — Chodźmy po buty, a potem wytarguję wam miejsce na wozie. Do Tarnowa jechać zaraz, tylko ani słowa przed macochą o pożyczce, — nikomu!

— Klnę się na wszystkich Świętych — pary z ust nie wypuszczę, — zawołała Zawrzykrajka.

Wyszli kupować buty dla Kasi i szukać miejsca na wozie.

W tej chwili Bartek Czarnik uganiał się między ludźmi, jednych łapał, zatrzymywał drugich, odbierając za długi pieniądze.

Bartek Czarnik pracował dziś, — po ogolonej jego twarzy spływał kroplisty pot. Czarnik nie czuł spływającego potu i nie czuł zmęczenia. Świecącemi z chciwości i obawy oczami, strzelał na wszystkie strony, aby mu który z dłużników nie uciekł. Zyzma trącił z dumą sąsiadkę pokazując Czarnika.

— Zwyczajnie „krzywda ludzka“ odpowiedziała kobieta.

Kasia dostała buty. Ponieważ jednak nie dziwota jej buty, — nic sobie z nich nie robiła, zaledwie na nie spojrzała, — przytupnęła raz, drugi — i zaraz patrzyła na ludzi, na swarne dziewuchy i wesołych chłopców.

— Książek kup sobie w Tarnowie, — odezwał się Zyzma rozkazującym tonem. Wiesz jakie?

— A przecież wiem — wypisy i historyję...

Wóz się znalazł. Zyzma wytargował na nim miejsce za dwie szóstki. Posadził naprzód matkę, przy niej córkę i pożegnał je.

Zawrzykrajka nie mogła się wydziwić hojności żyda, — a Kasia powtarzała, że Zyzma jest dobry.

Jarmark się skończył, rynek szczurowski przedstawiał pobojowisko stoczonej walki. Niedobitków zbierali patrzący przez okulary Koterbski z pachołkiem.

Zrobiło się pusto na placu, lecz za to drogi były ożywione, przepełnione końmi i ludźmi. Kurz wznosił się do góry — słońce go swemi promieniami złociło, strojąc cały obraz szarawo świetlanym kolorytem. Ponad wzniesione do góry tumany, wzlatywały wesołe śpiewy, wydobywał się stuk ciągnionych wozów i tętent koni.

Wrzało w tych mrowiskach osypywanych wyzłoconym od promieni słońca pyłem. Jedni wieźli łupy do miast, inni pieniądze, sól i okrasę, obuwie i przyodziewek dla wsi.

Wóz z Zawrzykrajką i jej córką wtoczył się za innemi na drogę do Dunajca. — Matka szeptała córce o Zyzmie bojąc się z jego strony podrywki, dziewczyna jadła kukiełkę myśląc o Tarnowie. — Zyzma stał i patrzył za niemi i dopiero gdy stracił ich z oczu, poszedł szparko do Rylowej. Miał jeszcze z zarobionych w Tarnowie i na jarmarku pięć guldenów, a nie chciał, aby próżnowały choćby jeden dzień.

Zapukał do okna jednej z okazalszych chat rylowskich. Za chwilę wyszedł dobrze zbudowany chłop. Na chudej, smagławej twarzy, czernił się gładki wąs, oczy dobrodusznie patrzyły.

— Potrzebujecie? — spytał Zyzma.

— Na Wolę zamówiono wyścielany wózek na sprężynach, — odpowiedział.

Zyzma wyjął pięć papierków.

— Tylko tyle a cóż ja z tem zrobię? — skarżył się stelmach.

— Nie mam, jak Boga kocham nie mam więcej, — szepnął Zyzma. — Dałbym wam stówkę z zamkniętemi oczami. Może co jeszcze w tym tygodniu zarobię.

— No i jakże to teraz?

— Cóżto nie wiecie? Dziesięć centów od papierka na miesiąc — dużo to?

— Mielibyście dosyć trzy szóstki od piątki.

— Mój Antoni ja nie Bartek Czarnik, ja was nie obdzieram, — oddacie kiedy będziecie mogli.

I Zyzma dumny, że nie był Bartkiem Czarnikiem, poszedł dalej, — a stelmach kontent, że nie pożyczył od Bartka Czarnika wrócił do chaty.

Przy samym prawie końcu Rylowej stała chata, do której biegł przyspieszając kroku. Spojrzał przez okno, była pusta, uderzył nogą we drzwi. przekonał się że były zabite.

— Nie dobijajcie się napróżno — odezwała się idąca drogą kumoszka. Bajdura pewno już na Podolu. Wysprzedał się i pocichu poszedł, grunt rozebrali ludzie, a chata pójdzie za podatki.

— A moje szesnaście papierków! — zawołał zrozpaczony chłopak, zbladł, ręce mu drżały, głos go dławił.

— A bo to tylko wyście jeden stratni? mówią, że ino Bartek Czarnik odebrał swoje, bo się dowiedział na czasie i paszport mu schował.

— Ja zabiorę chatę!

— Chcesz się procesować z rządem — spróbuj.

Kumoszka poszła dalej drogą, Zyzma postał, popatrzył, ręce załamał i odszedł ze zwieszoną głową.

Połowę swego w pocie czoła zapracowanego majątku stracił odrazu, drugą połowę wzięła Zawrzykrajka.

— Przegrałem! — powtarzał chwiejąc się z rozpaczy na nogach. Stanął, szczęśliwa błysnęła mu myśl.

— Dogonię Zawrzykrajkę i odbiorę pieniądze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pieśń bojowa.

(Csatadal)

Petöfi'ego.

Już słychać trąb spiżowy ryk —
W bojowy bracia stańmy szyk —
Naprzód!

Już dzwoni stal — kul świszczy rój,
Z nas bohaterów robi bój —
Naprzód!

Nasz sztandar w locie sięga chmur,
Świat cały niech ma z niego wzór —
Naprzód!

Niech na nim „wolność“ czyta świat,
To święte hasło naszych lat —
Naprzód!

Kto Węgrem, a nie tchórzem jest,
Na krwawy niech podąża chrzest —
Naprzód!

W nas krwi węgierskiej wulkan wre,
Bóg sam tak chce, jak Węgier chce —
Naprzód!

Kałuża krwi u moich stóp —
Mój wierny druh — już zimny trup —
Naprzód!

Czyż gorszym być od niego mam?
Na śmierć ochotnie idę sam —
Naprzód!

Choć wrogi chcą w pień wyciąć nas,
Choć grobu nas ma pokryć głaz —
Naprzód!

Nie ugniem się — nie cofniem się,
My zginiem — lecz ojczyzna — nie!
Naprzód!

Alg...

Wiek i jego prawa
w wychowaniu
przez
Ludwika Hodolego.

(Ciąg dalszy).

Od zmysłowych do oderwanych pojęć; od szczegółów do ogółu. Zasada ta wywołała metodę poglądową, która w dziecięcy umysł wprowadza naukę więcej za pomocą zmysłów, niż za pomocą wyobraźni. Że dziecko na tej drodze najwięcej skorzystać może, jest nader widoczne. „Jestto przesąd i bardzo zły“, powiada Śniadecki, „a na nieszczęście powszechny nałóg, żeby dzieci wszystkiego uczyć z książek, bo te są tylko dla dojrzałych, żeby je nad temi książkami trzymać po kilka godzin, jak przykute, dodając do tego za przyprawę poważne gderanie i groźby napuszonego pedagoga. Jest to nieomylny sposób zbrzydzenia na zawsze nauki i zrujnowania zdrowia. Seneka, mówiąc o młodzieży dawnych Rzymian, powiada, że nigdy nie siedziała i że jej nigdy siedzącej nie uczono niczego.... Plato w urządzeniu swej Rzeczypospolitej wychowuje dzieci w samych igrzyskach i godach, w samych pląsach, rozrywkach i spiewach, bo te same pląsy, te rozrywki, te śpiewy tak można urządzić, że się staną pożyteczną nauką.... Cała sztuka rodziców i mistrzów na tem zależy, żeby dzieci takiemi rzeczami zaprzątać, takiemi bawić i przyjemnie zajmować, któreby, zatrudniając ciało i kształcąc, zajmowały umysł i nowemi wyobrażeniami wzbogacały“.

W sprawie tej tyle już od dawna pisano i w metodę nauki w praktyce w prowadzono, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wspomnieć o tem, coby jeszcze w tym kierunku zdziałać trzeba.

Przedewszystkiem narzuca się pytanie, od wieków już roztrząsane, czy odpowiedniem jest rozpoczynanie nauki języków przed 10. rokiem życia, czy też realia powinne w tym wieku jedynie być uwzględniane. Jedni twierdzą, że nauka języków jest w tym wieku przedwczesną, i że znajomość rzeczy konkretnych winna mieć pierwszeństwo, drudzy zaś z uwagi, że w tym czasie pamięć jest bardzo silną i że nauka języków głównie polega na pamięci, żądają korzystania z tego czasu, radzą więc realia zostawić na później. Po środku prawda! W obronie języków przyznać musimy, że nauka ich obraca się w dzieciństwie tylko w sferze realiów, i że nie sięga do abstrakcji wstrętnych, niezrozumiałych i nieprzystępnych dla tego wieku i że pamięć pracuje przez to głównie w leksykologicznym kierunku, ogarniając pojęcia przystępne; w obronie zaś realiów żądać musimy, aby one przeplatały naukę języków, żebyśmy już w tym wieku nie tylko pamięć wyzyskiwali, zapychając ją balastem słów, lecz żebyśmy równocześnie podawali i rzeczy konkretne, i wcześnie już ćwiczyli zdolność sądzenia o rzeczach. Niech więc czytanie, pisanie, uczenie się „słówek“ i tłumaczenie niebędzie wyłącznym programem początkowej nauki, niech nawet dzieci, nie umiejące jeszcze czytać, uczą się już realiów, w przystępnej drodze im podanych.

Wycieczki czyli owe słynne „majówki“ studenckie, odbywają się niestety bardzo rzadko i to w sposób wcale nie pedagogiczny. Kiedy w obliczu natury przyrodnik może z prawdziwą przyjemnością i korzyścią uczyć swych przedmiotów, zapoznawać chłopców ze zwierzętami, roślinami i skałami, podnosić piękność przyrody i młodocianne serca do odczucia jej skłonić, kiedy literat

przy boku jego stosowną deklamacją może podnieść wyobraźnię, w zachwyt wprowadzić uczniów i tam im wykazać piękność i potęgę poezji, kiedy w ogóle nauczyciel z uczniami nieprzykutymi do szkolnej ławki, w swobodnej konwerzacji może im dowieść, że nauka zda się nie tylko dla szkoły lub karjery, lecz nawet do najzwyklejszej pogadanki ludzi, którzy nie chcą długo debatować nad pogodą, ani przeżuwać wiadomostek brukowych, kiedy więc z wycieczek takich da się odnieść najwyższa przyjemność i korzyść umysłowa: — to przy nieudolnem kierownictwie rzecz kończy się zwykle na tem, że profesor grał ze studentami w piłkę, kupił im czasem coś do zjedzenia i nic więcej. Jeżeli nauczyciel wybiera się ze studentami na wycieczkę tylko „na piłkę" i przez to chce szukać rodzaju popularności, to zaiste ubolewać nad nim wypada, że nie odczuł on należycie piękności nauki, że na przechadzce umie tylko, jak dziecko, rozruszać ciało a całkiem zapoznaje umysłową roskosz.

Wielu rzeczy, osobliwie systematyki roślin, można się nauczyć tylko na wycieczkach, a przecież jak rzadko kto tak uczy. Sam zdybywałem akademików z patentem „dojrzałości", którzy nieumieli poznać dęba ani buka, mimo że często grali w piłkę z profesorami, będąc w gimnazjum.

Dla podniesienia nauki poglądowej wypadałoby dalej podręczniki zaopatrzyć w większą ilość dobrych ilustracyj tudzież przysporzyć szkołom więcej środków na zakupno zbiorów naukowych. Nauki przyrodnicze bez demonstracji i eksperymentów są w ogóle balastem niepotrzebnym, i wypadałoby je raczej pominąć, niż przez nieodpowiedni sposób traktowania zrażać do nich i najfałszywsze o nich poglądy rozszerzać. Zoologia botanika i mineralogia, bez okazów nie są nauką lecz męczarnią, suchym katalogiem, którego się trzeba na rozkaz wyuczyć na pamięć; przy demonstracjach zaś wywołują niesłychany zapał u młodzieży, i robią z każdego chłopca przyrodnika, par excellence, zakładającego zbiory i t. d.

Ze względu na zasadę, że należy od pojęć konkretnych postępować do oderwanych, musi być w nauce gimnazjalnej do pewnego stopnia zachowaną dwustopniowość. Tak np. historja naturalna nie może być w żadnym swym dziale jednostopniowo traktowaną, a chociaż w niższem gimnazjum byłaby ona uważana tylko jako systematyka, to i tak nie może być od razu ściśle traktowaną, bo w tym wieku można uczniom opisywać tylko gatunki, przegląd zaś gromad lub klas jest dla nich za trudnym, i tylko w wyższem gimnazjum może być uwzględniony, tem bardziej, ile że do ogólnych charakterystyk klas wchodzą głównie różne znamiona anatomiczne, embryologiczne, fizjologiczne i t. d. co w niższem gimnazjum zwykle się pomija i po części nawet pomijać musi. Ponieważ taki ogólny przegląd jest koniecznie potrzebny dla poznania przyrody i łatwiejszego orjentowania się, przeto nic nie pozostaje, jak tylko w wyższem gimnazjum, uczyć po raz drugi systematyki, ale na ściślejszych podstawach, zwracając głównie uwagę na ogólne charakterystyki. Podobnie ma się z fizyką. Fizyka matematyczna, ów wzór ścisłości badań przyrodniczych, może być wykładaną tylko w wyższem gimnazjum, nietylko dlatego, że wymaga rozleglejszych wiadomości matematycznych, ale i dlatego, że jest abstrakcją, do której uczniowie w niższem gimnazjum jeszcze wznieść się nie mogą tak, że dla nich pozostaje tylko fizyka czysto doświadczalna. To samo zjawisko trzeba więc uczniowi raz tłumaczyć doświadczalnie, drugi zaś raz uzasadnić je ścisłym dowodem matematycznym. (Pisząc to, nie myślimy jednak wcale bronić w ogóle dwustopniowości gimnazjów, zachwianej już pod wieloma względami). Matematyka zapoznaje uczniów w niższem gimnazjum z rozmaitemi operacjami i obliczeniami praktycznemi, w wyższem zaś ściśle uzasadnia rzecz, poczynając od najelementarniejszych pojęć. Nieodpowiedniem i niepotrzebnem wydaje nam się tylko uczenie początków algebry w klasie trzeciej, bo podaje ona uczniom pojęcia dla nich za ogólne i za zbyt abstrakcyjne. Raczej wypadałoby rachunki procentowe i t. d., brane w klasie czwartej przenieść do trzeciej i na odwrót, najlepiej jednak kwalifikuje się algebra dopiero do wyższego gimnazjum. Że nauka algebry niepotrzebnie zabiera ten rok czasu, widzimy po tem, że uczniowie zapominają ją całkiem, i w rzeczach już słyszanych widzą później coś całkiem nowego, kiedy np. reguła trzech, obliczanie procentów, i t. d. jeszcze im dobrze tkwi w pamięci.

Od sztucznego kierownictwa do samodzielności. Zasada ta wymaga, aby uczniowi ułatwiać samodzielny rozwój zdolności. Nauczyciel, dawszy uczniowi pewne ogólne wskazówki, powinien go zmuszać, aby on sam robił odkrycia które mu też łatwiej przychodzi spamiętać. „Umysł dziecka", mówi Spencer „nie powinien być biernym, lecz czynnym, nie powinien być tylko odbieraczem gotowych pojęć. lecz w części sam ich twórcą".

Zasada ta może np. z matematyki nie tylko zrobić najdzielniejszą nauczycielkę myślenia, lecz także zachęcić uczniów do tej najsuchszej ze wszystkich nauki. Kiedy w ogóle nad matematyką uczniowie najwięcej ślęczą i najwięcej się skarżą, że jest tak bardzo „trudną", to ja byłem ze swymi kolegami tak szczęśliwym w gimnazjum, żem się nigdy na matematykę żalić nie potrzebował, owszem była ona dla nas najłatwiejszym przedmiotem, którego nawet nie potrzeba się było prawie nic uczyć w domu, gdy się w szkole uważało. „Sekret" cały spoczywał w metodzie naszego czcigodnego profesora Czaczkowskiego (ogłoszonej przed kilku laty w programie gimnazjum brzeżańskiego), który podawszy nam ogólne prawidła przeprowadzania dowodów matematycznych, potrzebował tylko uczniowi podać całkiem nową tezę dowodu, aby ten że przy małej pomocy, albo bez niej, wynalazł sam premisy i konkluzję. Trzeba zaś było widzieć radością rozpromienioną twarz ucznia, gdy nam bez przygotowania sam, jakby profesor, przeprowadził nowy dowód na tablicy! W miniaturze istny Archimedes w kąpieli! — Tak to w matematyce (w wyższem gimnazjum) nie powinni się uczniowie uczyć na pamięć gotowych dowodów, podanych im przez profesora, lecz sami powinni je tworzyć z początku przy pomocy zewnętrznej, a później nawet i bez niej.

Rozglądając się zresztą w metodzie nauki, nie możemy niestety gdziekolwiek indziej dopatrzyć się rozwijania samodzielności ucznia. A ileż to pola do tego przedstawiają np nauki przyrodnicze i inne? Wspomnieć nam chyba tylko wypada, że w wypracowaniach piśmiennych postępuje się od opisów i opowiadań, wreszcie do t. z. wolnych tematów, gdzie samodzielności ucznia zostawia się wolne pole do popisu.

Życzyć zatem należy, aby tej tak ważnej zasady pilniej przestrzegano, aby uczeń skończywszy gimnazjum "dojrzałość" swą mógł pełną samodzielnością zadokumentować. Stanie się temu zadość, jeżeli nauczyciel zamiast swe zdanie kłaść na początku, wypowie je na końcu, aż wysłucha zdań uczniów, jeżeli zamiast uczniom w nauce przodować, będzie nimi kierować, co jest właściwem jego zadaniem.

Od mniejszej pracy umysłowej do coraz większej. Rozwój sił umysłowych odbywa się z wiekiem nie tylko w tym kierunku, że opanowujemy coraz to „trudniejsze" nauki, ale i w tym, że coraz więcej ich nabywamy, nie tylko więc w kierunku jakościowym ale i ilościowym. Dziecko nie może się na raz tyle uczyć, co chłopiec, a chłopiec tyle, co młodzieniec. Wykroczenia przeciw tej zasadzie stanowią głównie owo przeciążenie uczniów, na które tak często słyszymy skargi. Stopniowanie w tej mierze widocznem jest w urządzeniu naszych szkół tak co do ilości godzin wykładowych w poszczególnych klasach, jako też co do ilości zadawanych lekcyj. Na wie-

lość wykładanych przedmiotów skarżyć się także nie można, bo inaczej powstałaby jednostronność i nużąca jednostajność w wychowaniu zwłaszcza, że i tak w gimnazjum nie wykładamy wiele nauk nader dla życia potrzebnych. To też przy rozwoju szkolnictwa nie należy się spodziewać redukcji ilości przedmiotów, lecz owszem ich zwiększenia. Co najwięcej, to ukrócićby tylko wypadało zbyteczne rozbujanie filologii ze szkodą innych nauk, które w obec niej średniowiecznym systemem nie są wcale równouprawione, a nawet, jak nauki przyrodnicze, jawnie lub półgłosem posądzane o kacerstwo, są jakby tylko z niechęcią cierpiane.

Przeciążenie owo widzimy najpierw w tem, że profesorowie nie porozumiewają się ze sobą co do ilości zadawanych lekcyj, czemu w ostatnich czasach chcieli niektórzy w ten sposób zaradzić, żeby ten sam nauczyciel udzielał w jednej klasie więcej przedmiotów. O ile nauczyciel udzielał by w takim razie przedmiotów, do których ma zamiłowanie, czyli, mówiąc po urzędowemu, do jakich ma kwalifikacje, myśl ta wydaje się trafną, o ile zaś miałby uczyć rzeczy, któremi się w swych studjach specjalnych nie zajmował, byłoby to z wielką niekorzyścią dla nauki. Niestety już i dziś dzieje się często, osobliwie w niższem gimnazjum, że filolog uczy nauk przyrodniczych lub na odwrót, matematyk historji i geografii i t. d., co i nauczycieli zraża robiąc ich rzemieślnikami, i uczniom szkodzi, bo nie zostają pod kierownictwem ludzi „fachowych“ lecz w najlepszym razie dylletantów. Nie brak zaś sił nauczycielskich wcale, bo pełno specjalistów „siedzi na bruku“ bez posad. Myśl owa, aby jeden nauczyciel wykładał w tej samej klasie więcej przedmiotów, wywołała publikowany świeżo dziwaczny projekt, aby nauczyciele zdawali egzamina z więcej przedmiotów, niż dotąd, aby byli encyklopedystami, dającymi się użyć do wszystkiego, do czego ich rozkaz wyższy powoła. Przeprowadzenie tej zasady zdegradowałoby mojem zdaniem profesorów do rzędu zwykłych zarobników, nie mających nic wspólnego z nauką ścisłą. Bo czyż można serjo twierdzić, aby profesor, zdający przy egzaminie według tego projektu np. zoologię, botanikę, mineralogię, geologię, matematykę, fizykę, literaturę polską, literaturę niemiecką i pedagogię, mógł z tego wszystkiego coś więcej umieć niż gimnazjalista? A gdyby wymagania były większe, któżby przystępował do egzaminu, do którego trzebaby się jako tako powierzchownie przygotowywać przynajmniej lat dziesięć, aby złożywszy go czekać jeszcze „na bruku“ przez nieograniczony czas na „otworzenie się posady“. Jeżeli zaś projekt ów ma posłużyć tylko do wstrzymania hyperprodukcji nauczycieli, to zbędnym jest całkowicie, gdyż i bez tego zapanowała między młodzieżą taka panika przed filozofią (dowodem szczupła ilość słuchaczy), że obawiać się wypada, aby ich kiedyś nie zabrakło.

Główna przyczyna przeciążenia uczniów, leży w zupełnem zaniedbaniu wychowania fizycznego. Herbert Spencer, zastanawiając się nad przyczynami dzisiejszego skarłowacenia ludzkości, dochodzi do wniosku, że nie winna temu ani większa niemoralność, bo dawniej byli ludzi może jeszcze większymi awanturnikami, ani nic innego, jak tylko to, że dzisiaj więcej pracujemy umysłowo, i fizycznie nie kształcimy się ani w setnej części tak, jak nasi przodkowie. Żądamy więc rozwoju umysłowego, zaniedbując równocześnie rozwój fizyczny zamiast żebyśmy w parze umysł i ciało kształcili. Kształcąc się więcej fizycznie, nie skarżylibyśmy się tyle i na przeciążenie umysłowe. Pierwszym i najskuteczniejszym środkiem do usunięcia przeciążenia, byłoby obowiązkowe wprowadzenie do szkół nauki gimnastyki jeżeli już nie hygeny w ogóle. „Jest wielką tajemnicą wychowania“, mówi Rousseau, „tak je urządzić, aby ćwiczenia cielesne i umysłowe służyły sobie za rozrywkę“.

Zbyt długie siedzenie w szkole jest także dla uczniów uciążliwem, a ponieważ trudno szkoły nasze zmienić w ambulatorja lub umieszczać uczniów w przestronnych salach, gdzieby się mogli przechodzić, coby było ideałem wygody, ponieważ trudno o to z uwagi, że zwłaszcza u nas wykołatanie nawet najlichszego gimnazjum bardzo powoli udaje się miastom, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko przynajmniej pozostawić do woli uczniom, czy i kiedy mają w szkole siedzieć lub stać, i w pauzach między godzinami zarządzać chociaż krótkie ćwiczenia gimnastyczne.

(Dokończenie nastąpi)

Bocian.

Nowella przez Elie'Bertheta.

I.

Kasia wyjechać miała w świat za chlebem.

Od dzieciństwa swego mieszkała ona wraz z babką swoją, która ją wychowała, w starym domu, położonym nad brzegiem Illu w Strasburgu. Dom ten był budowany z drzewa; piętra jego pięły się w sposób malowniczy, a olbrzymi jego dach omszony, był podziurawiony dwoma szeregami okrągłych okienek. Kasia z babką zamieszkiwały najwyższy stryszek. Na dachu stały grube kominy murowane, wyglądające jak obeliski, a służące za gniazda bocianom. W tej wysokości powietrze było czyste; tu oddechać można było wonią balsamiczną Wogezów i Czarnego lasu, która unosiła się po nad atmosferą dymów przygniatających niższe przestrzenie. Babka i Kasia były szwaczkami. Miały one nieraz czarne dni na stryszku, kiedy brakowało roboty! Ale stara kochała równie swą wnuczkę, jak wnuczka babkę, i obie miłując się, odważnie umiały znosić nędzę i niedostatek. Teraz, trzeba się było rozłączyć. Kasia miała lat ośmnaście. Jedna z jej ciotek, mieszkająca w Paryżu, a utrzymująca sławną szwalnię, powołała Kasię do siebie, przyrzekając, że wydoskonali ją w sztuce i zajmie się jej losem. Propozycja taka była korzystna; ciotka przysłała nieco pieniędzy na podróż, a biedna babka zgodziła się na rozłączenie, chociaż czuła, że umrze wkrótce opuszczona, z tęsknoty i bolu.

Kasia więc miała jechać; czekano tylko przybycia sąsiada, który miał ją odprowadzić na dworzec i zanieść jej skromny tłumoczek.

Był poranek. Słońce wybladłe i pozbawione promieni, budziło się w śród mgły. Miasto jeszcze drzemało, chociaż dzwon grzmiał głośno z katedry, a dobosze bębnili pobudkę na wałach. Szerokie okno na stryszku było otwarte, a wraz z balsamicznem powietrzem zaglądały do izdebki krążące wesoło jaskółki. Na olbrzymim dachu naprzeciw okienka stał komin wysoki, uwieńczony źdźbłem słomy i suchym liściem. Było to gniazdo bocianów.

Od dawnego czasu Kasia była w wielkiej przyjaźni z mieszkańcami tego gniazda. Witała ich krzykiem radosnym, gdy przylatywały na wiosnę; była smutną, gdy w towarzystwie licznem odlatywały jesienią. Często na skraju dachu zostawiała im resztki swego śniadania, a wtedy matka bocianów, z swym koralowym dzióbem przylatywała je zabierać, aby niem nakarmić dzieci. Wszystkie te ptaszęta, zdawało się, znają doskonale Kasię. Kiedy tylko pojawiła się przy oknie, już one krążyły koło niej, i kłapały dzióbami na znak radości.

W chwili o której mówimy, bocian odleciał szukać żywności dla małej rodziny, której różowe dzióbki wystercząły z gniazda, matka zaś stojąc u góry na jednej nodze, schowała drugą w pióra na podbrzuszu i patrzyła w stronę okna okiem pełnem smutku, jak gdyby przeczuwając, że jej protektorka, porzuci ją na zawsze.

Kasia była piękną dziewczynką. Kształtna, lica miała świeże a oczka niebieskie pełne słodyczy. Długi czas nosiła ona swe wspaniałe włosy splecione w dwie kosy, które związane wstążkami wolno bujały po jej ramionach, od czasu jednak, gdy wyrosła w dziewicę, przypinała je na głowie według

mody francuskiej, w tej chwili zaś wyglądały one tylko ciekawie z pod czarnego kapelusza słomkowego. Jej ubior podróżny składał się z sukienki wełniannej jasnego koloru, który doskonale pozwalał występować szerokim konturom jej łona. Mały płaszczyk zielony leżał obok niej na krześle, a u stóp jej stała walizka zawierająca jej cały majątek.

Babka stara, z twarzą pomarszczoną, której rysy wyrażały jednak dobrotliwość i słodycz, ubrana była w dawny strój alzacki, szeroką spodnicę czerwoną i kaftan bawełniany. Ztrudnością wyrażała się po francusku, ale nader szybko mówiła narzeczem krajowem, pewnym rodzajem zepsutej niemieczczyzny.

Siedząc naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, ta, która odjeżdżała i ta która zostawała, obie w łzach tonęły gorących, a stara dawała Kasi na drogę rady, jakie jej podawała miłość

— Widzisz moje dziecko, — mówiła babka drżącym głosem, — już więcej niezobaczymy się z pewnością; ale to rzecz naturalna... starzy muszą umierać. Niebyłoby to dobrze żyć wiecznie! Kiedy mnie już nie będzie na tym świecie, niezapomnij o mnie; zostań uczciwą dziewczyną, a dusza moja ucieszy się tem, gdziekolwiek będzie.

— Oh, babko! babko moja! szeptała Kasia łkając.

— Jedziesz do Paryża, — mówiła dalej babka; — świat tam zepsuty, a młode dziewczęta. biedne jak ty, wystawione są tam na mnóstwo niebezpieczeństw. Mam nadzieję, że Bóg cię od nich zachowa! Tam znajdziesz ciotkę swoją, panią Silberger, która się dobrze z tobą obchodzić będzie i uczyni z ciebie zręczną szwaczkę. Jest ona trochę dumna, ciotka Silberger, ale ty będziesz skromną i rozsądną, i wszystko będzie dobrze... A potem, co niedzielę spotkasz się tam z krewnym naszym Karolem Dimerem, który starszy jest o kilka lat od ciebie, i który kocha cię od dziecka. Nie jest on piękny, wiem o tem, ale to człowiek z charakterem, który umie pracować na życie. Jest on mechanikiem w porządnej fabryce, a to stan popłatny. Kiedyś możesz pójść za niego i będziecie żyć szczęśliwie. Wiele biednych dziewcząt, dziecię kochane, opuściło swój kraj niemając tyle, co ty, środków!

— Uczynię tak jak radzisz, babciu moja.

— Przedewszystkiom, moje dziecko, — mówiła babka dalej tonem ostrym — nie wierz tym młodym paniczom, którzy, jak mówią, kręcą się po ulicach Paryża. Mają oni piękne suknie i jedwabne słowa na zawołanie, a lubią prześladować dziewczęta biedne, niemające obrony i oparcia. Ale to są łotry, moja droga! umieją oni zgasić w sercu najlepsze popędy, a te co ich słuchają, wracają potem żarte zgryzotą i wstydem... Ty nie będziesz ich słuchać, Kasiu moja, nieprawdaż!... Przyrzekasz to, przysięgasz twej babce starej, która nie będzie już żyć długo!...

— Oh, tak, babciu moja, przysięgam! — zawołała Kasia.

W tej chwili niby jakaś mgła przebiegła przed oknem; słychać było silne uderzenie skrzydeł i powietrze poruszyło się w izdebce, niby olbrzymim pędzone wachlarzem.

Kasia przestraszona, zadrżała i podniosła głowę. Bocian, który niedawno temu nieruchomy stał na brzegu gniazda, wzbił się w powietrze i okrążał dach w około. Miał on oko zwrócone bezustannie na obie kobiety, z wyrazem pełnym żalu i miłości. Kłapał dzióbem bezustannie i szerokiem skrzydłem płynął w powietrzu.

Młode dziewczę ochłonęło z przestrachu a babka rzekła do niej z uśmiechem:

— Oto bocian przyleciał pożegnać się z tobą... Słyszał on twoją przysięgę... Zrozumiał ją być może, bo lud mówi, że te ptaki mają duszę!

Bocian ciągle poruszał swe czarne w połowie, w połowie białe skrzydła, patrząc na Kasię i babkę, gdy nagle spłoszył go łoskot niespodziewany. Łoskot ten spowodowało otwarcie drzwi, w których stanął jakiś człowiek.

Był to sąsiad Schuler, poczciwy farbiarz, mieszkający w tym samym domu, a który jako przyjaciel miał odprowadzić Kasię na dworzec.

— Jungfrau, es ist Zeit, — rzekł ze smutkiem. I zbliżył się trwożliwie, pochwycił silnemi rękoma, z których jedna była niebieska a druga czerwona, nie zbyt ciężką waliskę.

Obie kobiety długo leżały w uścisku i niechciały się rozłączyć. Rady dawane przez babkę, przyrzeczenia Kasi sto razy się powtarzały. Obie płakały, odchodziły od siebie i znów rzucały się szlochając w ramiona.

— Es ist Zeit! — powtarzał sąsiad Schuler.

Nareszcie wyrwała się Kasia z objęć babki, zakrywszy twarz chusteczką, a kiedy z sąsiadem schodziła ze schodów trzeszczących pod ciężarem ich kroków, stara prawie umierająca padła bezsilnie w opuszczonej izbie na krzesło. . . . .

. . . .

Kiedy Kasia oddalała się od Strasburga, ostatnie spojrzenie rzuciła jeszcze na bociany, latające wśród lazuru niebios w okół ażurowej wieży katedry.

(Dokończenie nastąpi).

Petőfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

(Ciąg dalszy).

Dni marcowe 1848 r. otwarły nową epokę życia narodu węgierskiego, a zarazem nową i ostatnią w działalności literackiej Petőfiego. Wraz z Jókai'em, z którym od dawna już był w ścisłej przyjaźni, a od czasu ostatniego przyjazdu do Pesztu nawet razem mieszkał, redagował teraz tygodnik „Eletképek" („Obrazy życia", założony w r. 1846 przez A. Frankenburga, od r. 1847 pod redakcją Jókai'a). W każdym numerze pojawiały się jego pieśni „wyśpiewane na lutni we krwi kąpanej." Stanowiły one niejako historję tych strasznych czasów, a niejedna z nich — powiada Jókai — dopiero wtedy staje się nam zrozumiałą, gdy sobie wyobrazimy kraj stojący na okół w płomieniach, rozpaczliwą walkę, prześcigające się wzajem wiadomości pełne grozy, a potem znów nie dające się opisać wrzenie tłumów upojonych zwycięstwem, i rozpasane porywy gniewu ludu. Na szczególniejszą wzmiankę pomiędzy nimi zasługuje porywająca pieśń p. t. „Csatadal" (Pieśń bojowa), — jedna z ostatnich które się w „Eletképek" ukazały — przez poetę przeznaczona na marsyljankę węgierską. Rząd węgierski polecił ją własnym kosztem wydrukować, i rozdzielić pomiędzy żołnierzy, poecie zaś ofiarował nagrodę 500 złr.

Uwagi godnem jest niepowodzenie, jakie w tym czasie spotkało Petőfiego na innem polu. Próbował on dostać się do sejmu i w tym celu kandydował na posła w Szabadszallas — w tej samej miejscowości, która teraz tak dobija się o zaszczyt, że jest jego miejscem rodzinnem. Wówczas jednak — dziwna rzecz! nie zdołał pozyskać sobie sympatji wyborców, a nawet musiał uciekać przed tłumem, który omal go nie zabił, tak był przejęty uwielbieniem dla przeciwnika Petőfiego! Przeciwnikiem tym zaś nie była żadna wielkość polityczna lub literacka, lecz jakiś magnat, nie mający wprawdzie żadnych zasług, ale natomiast obfite zapasy wina, których nie szczędził przy wyborach. Pełen goryczy powrócił Petőfi do Pesztu i opowiedział w swojem czasopismie niepowodzenia swe, i nadużycia popełniane przy wyborach. Przeciwnik nie omieszkał odpowiedzieć zaraz w następnym numerze, mianując poetę obraźliwymi słowy, atoli zawezwany do udzielenia honorowego zadośćuczynienia odmówił go, i sprawa zakończyła się oświadczeniem, złożonem publicznie przez sekundantów Petőfiego, że deputowany Nagy odmówił honorowej satysfakcji.

W jesieni 1848 r. podążył Petöfi na pole walki. Porzucił ukochaną żonę, bibliotekę swą polecił sprzedać na korzyść rannych, sam zaś wstąpił jako honwed do armii węgierskiej; brał udział w każdej znaczniejszej bitwie i odznaczył się męstwem tak dalece, że jeszcze w tymże roku został kapitanem. W r. 1849 został adjutantem generała Bema, który go nadzwyczajnie polubił i nawzajem od poety był uwielbiany. W bitwie pod Mühlbach zdobył sobie medal za waleczność. Bem umiał go ocenić i mianował majorem, minister wojny jednak nie zatwierdził tej nominacji ponoś dla tego, że poeta nie chciał nosić krawata, minister zaś nie chciał zezwolić na taki brak subordynacji. W skutek tego złożył Petöfi stopień oficerski i usunął się z wojska. Przed oblężeniem Budy przebywał krótki czas w tem mieście przy swej rodzinie, która go wtedy widziała po raz ostatni. Tu także widział się po raz ostatni z Jókai'em. Było to 25 maja 1849; uroczystym bankietem święcono radosne odzyskanie Budy i wznoszono przytem wiele toastów. Jókai wzniósł również krótki ale serdeczny toast: „Niech żyją ci, którzy ginąć będą za ojczyznę — niech żyją na wieki!“ Na to zwrócił się ku niemu Petöfi i rzekł: „Dziękuję ci, żeś i dla mnie wzniósł toast.“ To było ostatnie ich pożegnanie. Przeczucie nie zawiodło poety, toast ten odnosił się i do niego. Wkrótce bowiem potem udał się ponownie na plac boju, ażeby już nie wrócić nigdy...

Ukochany przez niego generał Bem był wtedy na Wołoszczyźnie, do niego więc pospieszył i z nim razem przybył do Siedmiogrodu już nie jako żołnierz, ale jako wódz. Z Maros-Vasarhely napisał do żony ostatni list 29go lipca 1849. W dwa dni później — 31 lipca 1849 — nastąpiła krwawa, ośmiogodzinna bitwa pod Segesvar (Schässburg), w której Moskale pobili Węgrów i sam generał Bem omal nie zginął. W tej bitwie widziano Petöfiego po raz ostatni, i w niej to prawdopodobnie zginął, a ciało jego wraz z innymi do wspólnego grobu złożono.

Nikt jednak nie był świadkiem zgonu Petöfiego, a ciała jego nie odszukano, czy też nie poznano na pobojowisku. Te okoliczności, niemniej i to, że generał Bem, o którym również rozeszła się wieść, że zginął w tej samej bitwie, a został cudownym iście sposobem od śmierci uratowany, spowodowały, że w Węgrzech długie lata nie chciano wierzyć w tragiczny zgon 26-letniego poety. Ogół wolał oddawać się przyjemnej illuzji, że uwielbiany pieśniarz narodowy zdołał w jakiś sposób uratować się od śmierci, i pozostaje jeszcze przy życiu, a przypuszczenie to opierało się na pewnych dość uzasadnionych podstawach. Oto Petöfi jako jeden z głównych sprawców i czynnych członków rewolucji węgierskiej, nie śmiałby był w owych czasach (t. j. po r. 1849) otwarcie wystąpić w kraju; natomiast ciągle ukazywały się tu i owdzie tajemnicze osobistości, które doskonałem odegraniem swej roli i zadziwiającą znajomością szczegółów poufnej natury z życia poety, zdołały nawet najbliższych jego przyjaciół w błąd wprowadzić i otrzymać od nich niejako sankcję tożsamości z zaginionym, a przez to podtrzymywała się u ogółu wiara w istnienie jego przy życiu.

Dopiero w r. 1860, gdy stosunki na lepsze się zmieniły, a prasa została swobodniejszą, wystąpił otwarcie z tą kwestją Albert Pakh, znany nam już jeden z najdawniejszych przyjaciół Petöfiego. W czasopismie swem „Vasarnapi Ujsag“ (Diennik niedzielny) zawezwał wszytkich, którzy widzieli Petöfiego po dniu 31 lipca 1849, ażeby mu złożyli swoje oświadczenie w tej mierze. Nadeszły listy od 31 osób; były w nich wprawdzie wielorakie sprzeczności, lecz także i poważne świadectwa osób twierdzących, że Petöfi żywy po owym dniu był u nich. Jednego z tych „Pseudo-Petöfich“ zdołano zdemaskować, ale zresztą tajemnicza osłona pokrywała całą sprawę.

Atoli między tymi listami wydostał Pakh przynajmniej jedno, jedyne tylko autentyczne świadectwo o ostatnich chwilach Petöfiego. Było to sprawozdanie Dra Józefa Lengyel, który w oddziale Bema pełnił służbę lekarską w owej bitwie pod Segesvarem, a który wprawdzie nie widział wprost jak Petöfi zginął, lecz był przy nim prawie do ostatniej chwili przed najściem Rossjan; a ponieważ sam zdołał im ujść tylko dzięki temu, że miał konia, Petöfi zaś pieszo uchodził wraz z oddziałem, który Moskale otoczyli i z którego wszyscy — z wyjątkiem kilkudziesięciu rannych — zginęli, przeto i Petöfi zginąć tam musiał. Miejsce, na którem to się stało, leżało tuż przy drodze wiodącej z Segesvaru (Schässburg), między miejscowościami Fehéregyhaz (Weisskirchen) a Héjasfalva. Przypuszczenie swe stwierdził Dr. Lengyel następnie jeszcze dobitniej. Zetknął się on mianowicie później — jak opowiada — z generałem baronem Heydte, który zarządzał był grzebanie poległych na tem samem miejscu, gdzie Lengyel po raz ostatni widział Petöfiego, otoczonego wraz z innymi przez Moskali. Rozmowa między nimi zeszła na bitwę pod Schässburg i na Petöfiego, a Heydte oświadczył, że dokładnie sobie przypomina młodego człowieka, z opisu podobnego do Petöfiego, który lancą przeszyty leżał niedaleko od miejsca przez Lengyela opisanego, a który wpadł mu w oczy, gdyż z wysuniętych kieszeni wystawały mu paczki zapisanych papierów — szczegół wielce charakterystyczny w tej sprawie.

Mimo pewnych niejasności w sprawozdaniu Dr. Lengyela, musimy się zgodzić na jego zapatrywanie co do śmierci Petöfiego a to tem bardziej, że żona poety w rok po bitwie pod Schässburg, 20 lipca 1850, wyszła powtórnie za mąż za prof. Arpada Horvata, musiała więc mieć świadectwo śmierci pierwszego męża, a powtóre, że imię Petöfiego, nie znajdowało się na liście skazanych in effigie przez sąd wojenny austryjacki na dniu 22 września 1851.

Po roku 1861 nie mówiono już w Węgrzech publicznie o możliwości, że Petöfi żyje jeszcze, i chyba w głębi duszy żywiono podobne nadzieje. Nagle w r. 1877 rozeszła się wieść, że w Siedmiogrodzie żyje pewien Węgier, nazwiskiem Daniel Manasses, który pojmany przez Moskali w r. 1849 w bitwie pod Schässburg, musiał dotychczas pracować w kopalniach Syberji, gdzie rozmawiał z Petöfim. Oczywiście, że wiadomość ta poruszyła całe Węgry, narobiła ogromnej wrzawy i spowodowała nawał interpelacyj do rządu, wniosków, petycji, — z czego wynikło, że sądy wdały się w tę sprawę i wreszcie pokazało się, że ów człowiek nawet nie nazywał się Manasses, lecz był prostym oszustem niejednokrotnie już karanym, który nigdy nie wyszedł po za granice Siedmiogrodu i całą sprawę wymyślił jedynie dla wyłudzania datków od entuzyastów.*)

Tak więc i ta ostatnia illuzja ustąpiła, i Węgrzy muszą wierzyć w zgon wielkiego poety. Już i reszta jego rodziny nie żyje: Umarł ojciec, który tak się sprzeciwiał drodze przez syna obranej, a potem dumny był sławą jego, umarła uwielbiana i tylekroć opiewana matka; prochy pięknej Julii Szendrey od r. 1860 ziemia przykrywa, a jedynak Zoltan (ur. 15. grud. 1848.) w roku 1870 przedwcześnie zakończył życie; wreszcie i młodszy brat Petöfiego, Stefan, nie doczekał uroczystej chwili, w której pomnik poety w całej okazałości stanął w stolicy kraju, a u stóp jego złożono wieńce z całych Węgier, — z zagranicy, nawet od głów ukoronowanych...**)

Wygasł więc wprawdzie wielki ród, ale imię „Petöfi“ nieśmiertelne w Węgrzech, a dzieła poety trwalszy niż ze spiżu stanowią dlań pomnik. (D. n.)

---

*) Szczegóły odnoszące się do śmierci Petöfiego i mytów o nim, zaczerpnięte są z broszury p. K. M. Kertbeny p. t. „Petöfis Tod vor dreissig Jahren etc. Leipzig 1880.

**) Jak wiadomo królowa rumuńska przysłała na uroczystość odsłonięcia pomnika Petöfiego wspaniały wieniec z napisem „Une adoratrice du grand poéte hongrois Alexandre Petöfi“.

Przegląd literacki.

(Dr. Th. Billroth: O pielęgnowaniu chorych w domu i w szpitalu. Przekład z 2go niemieckiego wydania. Warszawa—nakładem „Kroniki lekarskiej.“ 1882.)

W Prusiech, Saksonii, w Badeńskiem, Hanowerskiem i w innych państwach, urządzone są oddawna szkoły, połączone z umyślnie do tego przeznaczonymi zakładami leczniczymi, mające na celu wykształcenie dozorczyń do pielęgnowania chorych nietylko w szpitalach, lecz i w domach. Nie jest wcale mojem zadaniem wykazać szanownym czytelniczkom i czytelnikom znaczenie i potrzebę dozorczyń, ani szkół dla takowych przeznaczonych; każdy bowiem przyjdzie sam do tego przekonania, że w każdym szpitalu dozór nad chorymi powinien być oddany tylko osobom zawodowo wykształconym, że nabycie takiego wykształcenia możliwe jest tylko w specjalnie urządzonych zakładach, i że dozorczyni taka może oddać i przy chorych w domach prywatnych ważne nader usługi.

Dla instytucji dozorczyń w tym duchu pojętej, napisał znakomity lekarz dr. Billroth dzieło, którego tytuł podany jest na czele niniejszego artykułu. Gdy jednakowoż autor pisząc to dzieło, nie miał na celu tylko zawodowe dozorczynie, lecz także „w y k s z t a ł c o n e k o b i e t y i m a t k i r o d z i n,“ jak to sam na str. VIII powiada, uważaliśmy przeto za odpowiednie zwrócić uwagę szerszej publiczności na to dzieło, i polecić takowe, a to tem więcej, gdy rzecz jest w niem tak przedstawiona, że „każda kobieta bez względu na wiek... może śmiało wziąć w rękę tę książkę.“

Nie jedna z szanownych czytelniczek była zepewne w tem ciężkiem położeniu, że pielęgnując chorego, po odejściu lekarza spostrzegła, iż tego lub owego nie zrozumiała, że tego lub owego wykonać nie potrafi; położenie zaiste fatalne, tem gorsze, gdy choroba gwałtownie postępuje. Zresztę są okoliczności, na które lekarz zazwyczaj nie zwraca uwagi pielęgnujących chorego, — takowe bowiem wydają mu się tak proste, że każdy o nich wiedzieć powinien, jak: ogrzewanie, przewietrzanie i czyszczenie pokoju, zachowanie się otaczających w obec chorego, i wiele innych na pozór drobnych rzeczy, które albo przyczyniają się do prędszego wyzdrowienia chorego, lub sprawiają mu ulgę w cierpieniach.

Wytłumaczenie tego wszystkiego znachodzimy w dziele dr. Billrotha, a przedstawienie jest tak jasne, że bez żadnych wstępnych studjów wszystko może być dokładnie zrozumiane.

Rozpatrzmy się teraz pokrótce w treści dzieła.

We wstępie wykazał aut or obowiązki dozorczyni, które wcale nie są łatwe. Do należytego ich wykonania potrzebny jest koniecznie pewien stopień inteligencji, tak, że autor oświadcza, iż kobietom zbyt słabo inteligentnie rozwinietym, należy odradzać poświęcenia się temu zawodowi, a to z tego powodu, że „praktycznych rezultatów w zakresie pielęgnowania chorych można się spodziewać tylko wtedy, gdy dobry charakter łączy się z rozwiniętym umysłem.“ Dozorczyni musi się nauczyć pielęgnować chorych, a zadaniem jej jest nietylko pomagać choremu i spełniać należycie i dokładnie polecenie lekarza, lecz nadto ma ona pomagać lekarzowi przy operacjach i opatrzeniach, a w nieobecności lekarza obserwować chorego i stan jego choroby, aby za przybyciem lekarza zdać dokładnie sprawę ze wszytkich szczegółów.

Dobra dozorczyni powinna mieć prawdziwe zamiłowanie do swego trudnego zawodu, być usposobienia spokojnego, a nie wrażliwego, powinna być łagodną, cierpliwą, posiadać dar spostrzegawczy, aby z oczów chorego umiała wyczytać życzenie, i aby pod nieobecność lekarza umiała obserwować chorego i zdać sprawę ze swych spostrzeżeń; powinna być przyzwoitą i obyczajną, posiadać zamiłowanie prawdy, porządku (porządek około dozorczyni jest najlepszą dla niej rekomendacją); powinna być sumienną, powolną poleceniom lekarza (nie powinna leczyć na własną rekę, ani dyskredytować lekarza w oczach chorego lub jego rodziny), umieć zastósować się do danych, często niemiłych okoliczności; powinna być zdrową, gdyż praca bardzo mozolna jest jej powołaniem; powinna się wystrzegać ciekawości, gadatliwości i poufałości tak w obec chorych, jej opiece powierzonych, jak i ich rodziny.

Rozdział pierwszy nosi tytuł „Pokój chorego,“ Pokój, w którym chory dłuższy czas ma zostawać, powinien być jasny, przestronny, zaciszny, powinien dać się dobrze przewietrzać, ogrzewać i ochładzać. Szczególną baczność zwracać należy na to (a stosuje się to nietylko do chorych, lecz i do zdrowych), aby w pokoju było zawsze świeże powietrze, nietylko w dzień, lecz i w nocy. „Przewietrzanie w pokoju chorego musi być energiczne, albowiem czyste świeże powietrze jest nietylko głównym warunkiem wyzdrowienia, lecz w niektórych chorobach n a j w a ż n i e j s z y m n a w e t ś r o d k i e m l e k a r s k i m“. Otwieranie okna w pokoju chorego wcale nie jest szkodliwem. Znakomita angielska dozorczyni chorych Miss Florence Nightingale, córka właściciela ziemskiego, autorka dzieła — na język niemiecki przełożonego przez Pawła Niemayera pod tyt: „Rathgeber für Gesundheits—und Krankenpflege, Leipzig 1878,“ twierdzi, że „chory nie zaziębia się w łóżku.“ W lecie może być okno całą noc otwarte, wtedy bowiem nietylko przewietrza się powietrze pokojowe, lecz zarazem ochładza. W zimie, gdzie nie ma wentylatorów, najlepiej otwierać górną część okna. W rozdziale tym czytamy nadto o czyszczeniu i o sprzętach w pokoju chorego w ogóle, a o łóżku i pościeli w szczególności.

Rozdział II podaje „ogólne prawidła pielęgnowania chorych, leżących w łóżku,“ mianowicie sposób ścielenia i prześcielania łóżek, zmiana poduszek i bielizny, podnoszenie chorych, odziewanie ich, środki zapobiegające odleżynom, sadzanie i podnoszenie chorego, picie i jedzenie w łóżku i t. p., a na zakończenie spostrzeżenia i uwagi Miss Florence Nightingale o własnościach rozmaitych chorych i zachowaniu się dozorczyni i otaczających osób względem nich.

Rozdział III traktuje „o wykonywaniu zleceń lekarza,“ mianowicie o podawaniu lekarstw, o okładach, kąpielach, zawijaniach, i t. p.; rozdział IV. „o przygotowaniach do operacji i opatrywań“; rozdział V „o dozorowaniu i pielęgnowaniu gorączkujących chorych w ogólności.“

W rozdziale VI opisane są choroby, występujące epidemicznie. Choroby te dzielą się na choroby wprost zaraźliwe, gdzie jedna osoba od drugiej wprost się nie zaraża, lecz specyficzny pierwiastek choroby, rozwijając się w wydzielinach, zwłaszcza w wydzielinach jelitowych chorej osoby, dostaje się do ustroju innych osób i wywołuje chorobę. Do pierwszej kategorji należy szczególnie tyfus plamisty i powrotny, ospa, odra (kur), płonica (szkarlatyna), i błonica (dyfterja); do drugiej zaś przedewszystkiem tyfus brzuszny, dyzentarje i cholera. Teorja powstawania tych chorób i ich symptomata są tu dokładnie opisane, co ze względu na szybki rozwój niektórych z tych chorób, szczególnie błonicy która rok rocznie nietylko u nas, lecz i w innych krajach tyle ofiar wśród dzieci porywa, ma bardzo wielkie znaczenie. W końcu w rozdziale tym znachodzimy cenne uwagi co do zachowania ostrożności w chorobach epidemicznych i zaraźliwych.

Rozdział VII uczy pielęgnowania i niesienia pomocy przy chorobach nerwowych, oraz przypadłościach, mających swe źródło w układzie nerwowym, jak: pielęgnowania sparaliżowanych, udzielania pomocy przy, omdleniach, udarze mózgowym (apopleksji), padaczce (epilepsji, chorobie św. Walentego) kurczach histerycznych, astmie i t. p.. oraz podaje uwagi nad obserwowaniem i pielęgnowaniem umysłowo chorych. Tu ostrzega autor przed używaniem znienawidzonego przez chorych kaftana przy pielęgnowaniu w domach prywatnych, który tylko napad powiększa tak, że zdarzały się wypadki, żi

w skutek silnego skrępowania występowała o porażenie mózgowe z natychmiastową śmiercią. Prof. dr. Schlager, dyrektor krajowego zakładu psychiatrycznego w Dolnej Austrji, wykazał, że można się obejść bez kaftana i osiągnąć przytem jak najlepsze rezultaty. W Anglji przed 40 laty zakazane zostało urzędownie używanie kaftana. W spitalach takich urządzone są dla furjatów materacami wysłane cele, a w szczególnych wypadkach zastępują kaftany siłą mięśni wyuczonych i dobrze płatnych a licznych posługaczy. Ze względu na bardzo ograniczone środki, jakimi rozporządzają zazwyczaj takie zakłady lecznicze, niewszędzie da się użyć ta metoda, zwana po angielsku „no restraint“ (bez przymusu).

W rozdziale VIII znachodzimy wskazówki, według których należy postępować w wypadkach nagłych, jak oparzeniu, odmrożeniu, zgnieceniu, ukłuciu owadów, ukąszeniu wężów, psów wściekłych, w krwotokach, przy otruciu, ratowaniu powieszonych i topielców.

Na zakończenie podano w rozdziale IX ogólne prawidła dyjetetyki w zastosowaniu do chorych.

Dzieło prof. Billrotha polecamy naszym czytelnikom, jako podręcznik, który powinien znajdować się w każdym domu. Cena jest nader przystępną, egzemplarz bowiem kosztuje tylko 1 rubla. *Hipolit Parasiewicz.*

Przegląd teatralny.

(Sergjusz Panin, dramat w 5 aktach Ohneta, przełożył J. Arwin).

Minęły już czasy, kiedy ujemne charaktery w dramacie ubierano we wszystkie możliwe zbrodnie i wyposażano odrażającą powierzchownością. Przekonano się, że nie potrzeba być Franciszkiem Moorem, a przecież być bardzo złym człowiekiem, rozsiewającym dokoła siebie boleść i zgryzotę, że nie trzeba wyglądać jak Quasimodo, a jednak być wstrętnym. W życiu spotyka się często ludzi gładkich, uprzejmych, uśmiechniętych, pełnych zewnętrznego uroku, na których nie cięży żadna zbrodnia podpadająca pod paragrafy, a którzy w myślach i uczynkach, w całem jestestwie, w życiu całem są skończonymi łotrami. Takim jest i Sergjusz Panin, bohater Ohnetowskiego dramatu. Młody, przystojny, ujmujący w obejściu — pod względem moralnym jest ohydny swoją nicością i swem zbrodniczem samolubstwem. Każde słowo jego jest podłością — krok każdy występkiem. Zrujnowany materjalnie i moralnie za teren haniebnej eksploatacji obiera dom miljonowej mieszczanki. Tytuł moskiewskiego kniazia ma pewien urok dla burżoazji francuskiej, tego prototypu wszelkiej burżoazji. To też dom pani Desvarennes (tak się nazywa owa miljonerka, właścicielka młynów) staje dlań otworem. Panin nasamprzód uwodzi jedynie dla dogodzenia namiętności wychowankę pani Desvarennes, Joannę następnie podbija serce jej córki Michaliny i pomimo oporu matki poślubia ją, aby posiąść miljony. Joanna przekonawszy się, że Sergjusz dla niej stracony, pomimo że miłość jej ku uwodzicielowi nie wygasła — wychodzi za mąż za bankiera Cayrola.

Teraz rozpoczyna się dramat właściwy osnuty na miłości dwóch kobiet do jednego i tego samego mężczyzny, rozbudzonej zazdrości, a tłem tego dramatu jest marnotrawstwo Sergjusza, graniczące z szaleństwem. Autor w nader subtelny sposób przedstawia nam walkę uczuć i psychologiczny ich rozwój. Ile tam prawdy, ile mistrzowstwa! Intryga prosta, a jednak z ilu subtelnych ogniw składa się ten łańcuch sytuacyj i kolizyj nie, uderzających jaskrawym kolorytem, ale za to tem piękniejszych, tem szlachetniej pojętych i przeprowadzonych. Formy zwykłe, powszednie — ale pod niemi rozwija się akcja prawdziwie dramatyczna, pełna siły, a miejscami nawet tragicznej grozy, Te naboje dynamitowe ukryte w meblach obleczonych aksamitem.

Rzecz kończy się tragicznie. Obie kobiety przekonują się o podłości człowieka, którego ukochały, obie stanęły nad brzegiem przepaści, z którego cofnąć się nie można. Jak wybrnąć z tej sytuacji? Zdaje się, że autor długo musiał sobie głowę łamać nad tem pytaniem a wreszcie wynalazł sposób, nie powiemy, bardzo szczęśliwy, ale w każdym razie dostatecznie motywowany. Straciwszy majątek żony, a widząc, że teściowa poznała się na nim i nie chce dozwolić czerpać ze swojej kasy, rzuca się Sergjusz w więcej niż wątpliwej wartości interesa finansowe, które stawiają go w kolizji z prawem. Policja chce go aresztować za oszustwo... W łeb sobie strzelić — czy uciekać? — Sergjusz jest tchórzem, w obec tych których całe życie zniszczył, okazuje całą swą podłość — odrzuca podawany mu rewolwer — chce uciekać — ale już zapóźno — już wchodzi policja... W tem z ręki świekry pada strzał — strzał przypadkowy... Nad ciałem awanturnika zapada kurtyna...

Rozwiązanie to jest jedną ze słabych stron sztuki, napisanej zresztą, jak nadmieniliśmy z prawdziwym talentem, tak pod względem charakterystyki osób działających, jak zręcznych sytuacyj i barwnego dyalogu. Drugą słabą stroną sztuki jest często niezgrabna faktura sceniczna.. Z osobami na scenie postępuje sobie autor bardzo dowolnie — bez motywów jednych wprowadza, drugich usuwa, byle tylko popchnąć akcję o krok naprzód. Wada to wszystkich utworów przerobionych z powieści, jak bowiem wiadomo „Sergjusz. Panin“ jest uscenizowaniem podwieści pod tym samym tytułem. Braki te jednak, któreśmy wykazali, są dosyć podrzędnej natury i nie przyćmiewają zalet, jakiemi dramat Ohneta rzeczywiście się odznacza, a które stawiają ten utwór po nad wszystkie inne przedstawienia w ostatnich czasach na naszej scenie..

W przedstawiewieniu odznaczyli się z mężczyzn pp. Woleński (Sergjusz) i Kwieciński (Piotr Delarme), mniej nas zadowolił p. Hierowski (Cayrol), który w żaden sposób nie może się pozbyć manjer prowincjonalnych. Więcej swobody, panie Hierowski, a wszystko pójdzie lepiej! Panna Knapczyńska (Michalina) za mało przedstawia materjału na dramatyczną amantkę, aby takie role mogła grać z powodzeniem. Więcej tu trzeba siły — a mniej płaczu — więcej oryginalnego zapału — mniej szablonu.. Pani Nowakowska (Joanna) grała pod każdym względem wzorowo, jak na artystkę, tej co ona miary przystało.. W roli matki Desvarennes okazała się pani German wprost nie możliwą.. Rola to prawdziwie dramatyczna, a nie komiczno-rodzajowa.. Jakże możnaby powierzyć rolę Otella — p. Skalskiemu? Analogja pod tym względem kompletna.. Czy nie wiedziała o tem dyrekcja?..

Nie-Zoil

ZIARNKA

Z końcem roku bieżącego przypada 25letni jubileusz pracy pisarskiej jednego z głębszych naszych powieściopisarzy i zasłużonego obywatela Teodora Tomasza Jeża (Zygmunta Miłkowskiego). Jeż należy do pisarzy mało dotąd, szczególniej u nas w Galicji, poznanych i ocenionych. Powieści jego, szczególniej późniejsze wychodziły przeważnie w pismach warszawskich, przytem pisarz ten nie doczekał się zbiorowego wydania swych powieści a pisał bardzo wiele, tak, że pod względem płodności literackiej zajmuje niezaprzeczenie drugie miejsce po Kraszewskim. Pod względem artystycznym utwory Jeża sięgają często wyżyny, dostępnej tylko dla pierwszorzędnych talentów. Co przytem nadaje powieściom Jeża wysoką wartość spółczesną, to artystyczna metoda i tendencja, jaką przeniknięte są jego utwory. Pod względem artystycznego traktowania przedmiotu, Jeż jest realistą, w czem zgadza się wybornie z nowszym kierunkiem powieści. Jeżeli przytem Jeż nie powierza wyłącznie domysłom swych natchnień arty-

stycznych, to i w poglądach na przedstawiane przez się charaktery i stosunki, nie powoduje się przelotnemi gustami i nie puszcza dowolnie wodzy przywidzeniom. Do materjału, który ująć ma następnie w artystyczne ramy, Jeż przystępuje z okiem nietylko artysty, lecz myśliciela i badacza, dlatego też powieści jego, to cenne zazwyczaj studja psychologiczno-społeczne, nad któremi góruje umysł ich twórcy, umysł bystry i głęboki. Pisarz przejęty takiemi ideami, obfity znalazł materjał artystyczny w życiu Słowian południowych, z którymi bliższą zabrał znajomość, zapędzony wśród nich wypadkami politycznemi...

Tyle co do działalności pisarskiej — drugą jednak połowę swego życia poświęcił Zygmunt Miłkowski niezmordowanej walce za kraj i jego prawa.

Pracując długie lata głową, piórem i szablą, Jeż zasłużył sobie na 25-letni jubileusz swej pracy pisarskiej, który przypada z końcem bieżącego roku. Dla uczczenia tej chwili, liczne grono pisarzy warszawskich za inicjatywą wychodzącego tam pisma literackiego p. t. Prawda, i jej redaktora p. Aleksandra Świętochowskiego (Wł. Okońskiego) postanowiło wydać książkę zbiorową p. t. Ognisko, w którem pomieszczonych zostanie wiele prac, przeważnie, choć nie wyłącznie dotyczących Jeża i jego utworów. Dochód z tego wydawnictwa przeznaczyli autorowie i wydawcy tego jubileuszowego upominku na rzecz sędziwego weterana naszej literatury postępowej i słusznie, Jeż bowiem, który wielu wzbogacił wydawców, sam z trudnością tylko piórem zarabia na utrzymanie dla siebie i rodziny. Ognisko które wyjdzie w połowie grudnia b. r. w Warszawie, zostało w całym postępowym obozie nader sympatycznie powitanem, a Prawda warszawska, która przyjmuje zapisy na Ognisko (cenę którego oznaczono na 5 rs. za tom znacznej grubości) — ogłasza co tydzień długą listę przedpłacicieli, liczącą już setki, jeżeli nie tysiące nabywców. Nie wątpimy, że w zapisywaniu się na tę książkę zbiorową przyjmą udział i nasi czytelnicy, dlatego też oświadczamy tu, że chętnie przyjmować będzi-my pośrednictwo w tej przedpłacie, a ogłosiwszy nazwiska zapisujących się w Ziarnie, pieniądze ich wraz z nazwiskami przesyłać będziemy do Prawdy, gdzie znajdą one pomieszczenie w liście ogólnej, mieszczącej imiona obywateli całej Polski i Polaków po całym rozproszonych świecie.

* * *

Nareszcie po długiej pauzie, lwowskie „Koło literackie“ dało znak życia. Odbyło się walne zgromadzenie i wybrano wydział, ten sam co roku przeszłego. Prezesem... został ks. Roman Czartoryski. Każdego, kto umie tylko zastanowić się, uderzyć musiał wybór przewodniczącego. „Koło“ — jest „artystyczno-literackiem“ — któż więc powinien stać na czele takiej instytucji? — Odpowiedź sama się nasuwa.. Jakiś wybitny literat lub artysta — lub wreszcie zasłużony mecenas literatury i sztuki.. Tymczasem na kogo padł wybór? Na człowieka, który nie jest pierwszym, ani drugim, ani trzecim, a za kandydaturą jego chyba tylko to przemawiało, że jest „porządnym człowiekiem“... Porządny człowiek — to bardzo wiele — porządny człowiek — to bardzo mało.. Znamy wielu ludzi porządnych, ale żadnemu z panów członków „Koła“ nie przyszło do głowy, stawiać kandydaturę któregο z nich na prezesa „Koła.“ Dla czego? Bo to nie członek „familji.“ Należałoby, aby literaci nasi zerwali już z tradycją służenia na dwóch łapkach, i prosznia o odpadki z pańskiego stołu.. Szanujcie się sami, jeżeli chcecie, aby was szanowano..

* * *

Znana jest z „Münchener Bilderbogen“ powieść o owym wieśniaku, co zamienił bryłę złota na konia, kozę, kurę, a w końcu nawet na osełkę do ostrzenia nożów. Kto jej niezna, może się dowiedzieć o całej historji z humoreski p. Horaina „Zły mąż a dobra żona“, czy odwrotnie, a ztąd pozna sens moralny całej opowieści, która się da zastosować, niestety do obecnych stosunków...

Zaoszczędzono na oświacie i szkołach, a kupiono zamek oleski. Gdyby w tym zamku w istocie prócz jednej sali, w której jest na kominku wcale ładna grupa trzech bogiń i Parysa, a na plafonie obraz olejny „porwanie Europy,“ nieszczęściem zepsuty wilgocią, było jeszcze coś więcej godnego konserwowania, chętnie byśmy się zgodzili na konserwowanie i restaurację tej pamiątki po pogromcy Turków. Tak jednak nie jest. Zamek cały jest w stanie najzupełniejszej ruiny, odnowienie raczej odbudowanie murów będzie kosztować drogo! A trzeba wiedzieć, że dotychczas nikt nie wie, co ma się stać z tym zamkiem po odbudowaniu. Jedni chcą tam mieć schronisko dla starych weteranów, drudzy muzeum pamiątek po Sobieskim. Zważywszy, że muzeum pamiątek po Janie III. jest niemożebne o tyle, iż wszystkie te pamiątki są już umieszczone w muzeach prywatnych, a muzeum publicznego niepowinno się zakładać na prowincji, zważywszy to wszystko, jeszcze raz zapytujemy, co właściwie za cel był w kupowaniu Oleska? Rozumielibyśmy to wszystko, gdyby stan nasz finansowy pozwalał na zbytki artystyczne, ale w obec oszczędności na cele oświaty, całe to przedsiębiorstwo przypomina nam owego spekulanta z „Münchener Bilderbogen“, czy z humoreski p. Horaina.

* * *

Hasło lwowskiego chóru męskiego zostało już wybrane. Nagrodę otrzymał profesor Wachnianin. Komisja, która się składała z pp. Gerbicza nauczyciela śpiewu, Przibika dyrektora opery, i Cetwińskiego dyrygenta chóru, proponowała dwa utwory, oznaczone numerami 14 i 15, które, jak się po otwarciu kopert okazało, nadesłał p. Mikołaj Biernacki dyrektor towarzystwa muzycznego w Stanisławowie. Tekst hasła stanowią słowa Pola:

Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia — ile w pieśni.

Nie słyszeliśmy muzyki skomponowanej do „Hasła“, nie możemy więc sądu o niej wydawać — co się jednak tyczy powyższego dwuwiersza, choć to niby Pola, to zdaje się nam, że można było wybrać jakieś kilka słów, drgających życiem i pociągających treścią, zamiast szczęście całe widzieć w sennej pieśni...

ZAPISKI.

Literatura.

* Autor „Piśny z dawnych lit“ p. January Poźniak, wydał spory tom poezyj swoich „Pieśni z lat młodych i pieśni starca“, z których rozprzedaży dochód cały poświęcił na rzecz Macierzy polskiej. Zbiorku tego jednak niezaleca wyłącznie cel, na jaki nakład przeznaczył autor, są tam rzeczy w istocie piękne, a „pieśni starca“ tak pod względem formy jak i myśli nie wiele się różnią od wierszowań młodzieńca. Zbiorek zakończony jest rzewnym a serdecznym wierszem. „Wspomnienia z życia“, gdzie opowiedzianą jest biografia szanownego autora.

Z wiersza tego przytaczamy zakończenie:

Wspomnienia mego żywota:
Są to kwiaty... i nić złota...
W wieńce łączy je nić ta;
Rzucon losem w wrzące fale
Rzeki, w której wód krysztale,
Pojawiła się już kra,
Na mogiłę mą, kolumny
Nie pragnę, ale do trumny
Wieniec ów zabrałbym rad —
By mi przypominał w grobie:
Świat kochałeś, dziś o tobie
Zapomniał — od wielu lat.

* Nakładem księgarni K. Łukaszewicza wyszły popularne a nader pożyteczne rozprawki treści gospodarskiej traktujące o „Uprawie chmielu“ (przez Z. G.), „Uprawie esparcetty, lucerny, seradelli, marchwi, buraków i kartofli przez A. Z. i Z. G.“, tudzież broszurka odpowiadająca na pytanie: „Dlaczego trzeba konia za młodu nakłaniać do pracy, i jak to czynić należy?“

* Jan Arany sławny poeta węgierski — stawiany na równi z Petöfim, zmarł przed kilku dniami w Budapeszcie. Urodzony w r. 1817 w Nagy Szalanta, jako syn dość ubogiego właściciela niewiel—

kiego kawałka ziemi, Arany staczał długi czas walkę z życiem. Czuł on od pierwszej chwili artystyczne popędy, i próbował sił swoich w młodości jako aktor, malarz i rzeźbiarz, aż nareszcie po rozpisaniu konkursu przez Towarzystwo Kiszfaludy odkrył w sobie poetę. Zajmował on wtedy skromne stanowisko wiejskiego notarjusza, a 15 dukatów nagrody, którą ze względów na objętość dzieła podwyższono na 20 dukatów, były dlań niemałą kwotą. Najgłówniejszem jego dziełem jest trylogia epicka „Toldi", opisująca czyny mitycznego bohatera węgierskiego, który wsławić się miał w epoce króla Ludwika. Poemat ten pełen świeżości i barw zachwyca czytelnika prostotnym, prawie naiwnym językiem; w nim widzą Węgrzy odźwierciedleuie swego ducha narodowego. W ogóle Arany jest wraz z Petöfim przedstawicielem romantyczno-narodowej poezji w Węgrzech, i ztąd pochodzi wpływ jego ogromny na naród. Jako człowiek był Arany ze wszech miar mężem godnym poważania. Skromny i cichy żył ze swej pensyjki, jaką pobierał jako sekretarz akademii. Kiedy wyjeżdżał na Wiedeń do Karlsbadu dla kuracji (były to dwa jedyne miasta, które poeta poznał za granicą Węgier) nie chciał pobierać płacy; zawotowanej przez sejm pensji w kwocie 4.000 nieprzyjął i orderu Szczepana, którym go obdarzono, nigdy nosić nie chciał. Natomiast za wielki zaszczyt miał sobie, że w r. 1848 służył jako koncepista w ministerstwie narodowem.

Teatr i muzyka.

* „Lilli" nowy wodwil pp. Hennequina i Millaud, przedstawiony został niedawno. w Theater an der Wien z olbrzymiem powodzeniem.

* W „Folies dramatiques" przedstawiono przed kilku dniami nową operetkę Varneya pt. „Fanfan la tulipe", w której przedstawiony jest typ żołnierza, łączącego w sobie właściwości Don Juana. Libretto napisali Paweł Fervier i Juliusz Prevel. Operetka została dobrze przyjętą.

* W Paryżu zmarł nagle jeden z najpopularniejszych artystów paryskiego Palais Royal Montbars, licząc ledwo lat 34 życia. Montbars nazywający się właściwie Juliusz Aleksander Kalitowicz, jak mówią Rosjanin z rodu zrobi nader szybką karjerę w Paryżu. Najlepszą jego rolą był „Mąż debiutantki" i rola tytułowa w „Podróży p. Perichon" Montbars był bogaty. Niedawno temu jeździł po odebranie sukcesji w kwocie 200.000 zł. do Wiednia i Pesztu. Na przedstawienia jeździł swym własnym powozem.

* „Le coeur et la main" nowa operetka Lecocqua upadła po pierwszem przedstawieniu w teatrze „Nouveauté" w Paryżu.

* Niejaki baron Winzigerode, który liczy obecnie lat 87, a przez lat 40 pracował nad muzyczno-historycznem dziełem, przybył w tych dniach do Monachium, gdzie chce się ułożyć z nakładcą o wydanie swego dzieła, liczącego 40 tomów.

* Znakomita wiolonistka Theresina Tua, zakończyła szereg swych koncertów w Wiedniu, żegnana grzmiącemi oklaskami publiczności po ostatnim występie.

Sztuki piękne.

* Dyrekcję muzeum Rietschla w Dreznie objął prof. Jan Schilling.

* W konkursie rozpisanym przez Wiesbaden na plan budować się mającego ratusza, pierwszą nagrodę (6000 mark) otrzymał F. Ewerbeelt, profesor politechniki w Akwisgranie.

* Profesor akademii wiedeńskiej sztuk pięknych, architekt J. Niemann wydał dzieło pt. „Handbuch der Linear — Perspektive für bildende Künstler", z którego każdy nieznający nawet matematyki może się nauczyć zasad głównych perspektywy. Dziełko zdobi 18 tablic świetnie wykonanych w nadwornej drukarni. Przykłady wybrane są z arcydzieł znanych powszechnie.

Archeologja.

* P. Julian Zacharjewicz, który jeździł jako jeden z rzeczoznawców oglądać wykopaliska w Załukwi nad Dniestrem, zdaje w ostatnich dwóch numerach „Dźwigni" sprawę ze swojej wycieczki. Szanowny profesor zgadza się najzupełniej ze zdaniem dr. Szaraniewicza, że odkopane szczątki murów są rzeczywiście szczątkami dawnej świątyni Spasa, na co są dowody historyczne, tradycyjne, a obecnie i archeologiczne, i twierdzi że rzut fundamentów odkrytych przedstawia nam założenie trzymurowej budowy, o której, opierając się na znalezionych szczątkach cegieł, słupków i t. p. wnosi, że cerkiew była sklepioną na filarach, że absydy były baniami nakryte i a sklepienie było malowane. Pomiędzy znalezionemi szczątkami są niektóre przedmioty godne bliższej uwagi, a mianowicie piękne okucia bronzowe i krzyże, których kształt dowodzi najlepiej ich pochodzenia ze wschodu. Jeden z tych krzyżów, przedstawiający Chrystusa na poduszce stojącego i ubranego w sukienkę, dowodzi wielkiej starożytności tego wykopaliska. Kawałek obrobionego verde antico, jest jeszcze jednym dowodem więcej, że cerkiew św. Spasa budowana była pod wpływem sztuki bizantyjskiej. P. Zacharjewicz bowiem słusznie powiada, że kamień ten był zastosowywany tylko tam, gdzie albo sztuka, albo rzemieślnicy bizantyńscy byli używani.

MISCELANEA.

Niejednokrotnie zastanawiano się nad pytaniem, czem i jak wytłumaczyć zmysł orjentowania się zwierząt w nieznanej okolicy. Przyrodnik francuski Vignier, który badał t. z. zmysł kierunku u ludzi i zwierząt, zauważał, że pewne zwierzęta i ludy, żyjące w stanie dzikości, posiadają szczególną zdolność, pozwalającą im powracać w prostej linii do pewnego punktu wyjścia, po przebieżeniu znacznych nawet odległości i krzywizn bardzo skomplikowanych. Fakt ten obserwował niejednokrotnie podczas wycieczek swoich po lasach amerykańskich, z Indjanami szukającymi kauczuku. Czy zdolność tę należy przypisać szóstemu zmysłowi, któryby można nazwać zmysłem orjentacyjnym lub kierunkowym? Tę właśnie kwestję wyżwspomniany uczony stara się usilnie rozwiązać. Wallace pisał w r. 1873: „Zdolność cechująca wiele zwierząt, pozwalająca im powracać po drodze której, przebywając ją—nie widziały (jeżeli np. pomieszczone były podczas transportu w koszu lub klatce) uznana została ogólnie za niezaprzeczony objaw rzeczywistego instynktu. Zdaje się jednak, że w naprowadzonych wyżej okolicznościach, zwierzę powodowane chęcią oswobodzenia się, wytęży całą swoją uwagę, by za pośrednictwem jedynego zmysłu, jaki mu pozostaje do dyspozycji (delikatnego zmysłu węchu) zapamiętać rozmaite zapachy, zalatujące je po drodze, a które w umyśle jego zostawiają szereg obrazów, nieustępujących pod względem wyrazistości obrazom, odbieranym przez zmysł wzroku.

Każdy dom bowiem, bagno, pole lub wioska, posiadają właściwą sobie, a odrębną indywidualność, ułatwia zwierzęciu powrót po tej samej linii, bez względu na ilość zboczeń i załamów drogi. Objaśnienie to, zdaje mi się, da się zastosować do wszystkich objawów tego rodzaju". Tyle mówi w tym przedmiocie badacz angielski. Powstała też z tego powodu polemika, i usiłowano dowieść, że u zwierząt nie posiadających organu dotykania, tak czułego jak ręka ludzka, węch przychodzi ze skuteczną pomocą wzrokowi, i nabiera z czasem niezwykłej doskonałości. W każdym razie ta hipoteza nie objaśnia wszystkich faktów tego rodzaju. Weźmy n. p. takie: Pies przywieziony przez arcyks. Marję Regnier z Mentony do Wiednia, powraca sam do Mentony; albo osieł należący do pewnego kapitana angielskiego, przewieziony przez cieśninę Gibraltarską na przylądek Gate, wraca lądem do Gibraltaru przebiegłszy 300 kilometr. Albo weźmy gołębia. „Gołąb, mówi Taussenel — wie dobrze, że z północy wieje wiatr chłodny, z południa ciepły, ze wschodu suchy, a z zachodu wilgotny. Dość mu tego, by wytknąć sobie kierunek lotu bez pomocy słońca lub oczu. Przewieziony z północy na południe, ptak ten miarkuje zaraz zmianę temperatury, i puszcza się prosto w kierunku północy Jeżeli nie trafi na dom swój, jest to znak, iż puścił się zbyt prosto; dość mu pokołować kilka godzin, by gniazdo swoje odnalazł". Wracając do p. Vignier, utrzymuje on, że temperatura jest czynnikiem zbyt zmiennym, aby mogła sama przez się kierować zwierzę w biegu lub locie, to też uczony ten przychyla się ku teorji, przypisującej zasadniczy wpływ magnetyzmowi. Zdaniem jego, fakta tego rodzaju dają się objaśnić tem, że niektóre zwierzęta posiadają pewien zmysł prądów magnetycznych, dostateczny, by służyć im mógł za busolę wewnętrzną, wskazującą kierunek podróży. Wiadomo, że prądy magnetyczne działają na igłę magnesową, a przypuszczenie, że działać mogą również i na tkanki organiczne danego zwierzęcia, nie wydaje się zbyt nieprawdopodobnem. Naprowadza na to i ta okoliczność, że np. pies odnajdujący bez trudności drogę na przestrzeni kilkuset kilometrów w okolicy otwartej, zabłąkać się może łatwo na przestrzeni 500 metrów w mieście, gdzie krzyżowanie się mnóstwa ulic pod rozmaitemi kątami, mącić się zdaje zmysł jego, fungujący przeważnie w kierunku linji prostej. Z tego wszystkiego wnosi p. Vignier, że zmysł magnetyczny jest jedynie nieomylną wskazówką, kierującą zwierzę w jego powrocie do oddalonego punktu wyjścia. Że zwykłe zmysły nie biorą w tym razie żadnego udziału, dowodzi ta okoliczność, że zwierzęta uspione narkotykiem, po przewiezieniu w odległą okolicę, powracały mimo to do domu.

Treść.

Wydawca: Bolesław Spausta. Odpowiedzialny redaktor: Bolesław Czerwieński.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.